płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16 - 31 VII. 1989 | 14

Fot. Włodzimierz Barchacz

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Niektóre zwierzęta też słabo widzą, na przykład okularnik...

— A teraz, Azorku, drugie ucho!

— Dzień dobry, czy mógłbym się trochę pobawić z Krzysiem?

A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE!

NAURU — wyspa-państwo na Pacyfiku jest w istocie jedną wielką kopalnią odkrywkową fosforytów. Ich zasoby wyczerpią się w ciągu 10—15 lat. Na razie jednak trwa opłacalny eksport tego surowca. Kiedy dobiegnie końca eksploatacja fosforytów, mieszkańcy Nauru — jest ich nieco ponad 8 tys. osób — dysponować będą dostatecznymi środkami finansowymi, by przeobrazić wyspę w ogród. Planuje się sprowadzić dobrą glebę na całe 22 km kwadratowe wyspy i zainstalować system nawadniający. Przewiduje się też zakupienie na Pacyfiku innej wyspy, która stanie się nową ojczyzną mieszkańców Nauru.

●

W FIŃSKIM mieście Lieske od przeszło kilkunastu lat panuje zwyczaj, że wszyscy mieszkańcy (mali i dorośli) mówią do siebie po imieniu.

●

NIEKTÓRE gatunki pająków mogą dorastać do niesamowitych rozmiarów. Na jednej z plantacji w Argentynie znaleziono pająka o wadze 4 kg i długości 40 cm. Wyobraźcie sobie takie „coś" w pokoju na ścianie. Brr...

CISY należą do rzadko spotykanych, wiecznie zielonych drzew iglastych. Większe ich skupiska można spotkać w rezerwatach. Jednym z największych jest rezerwat cisów w miejscowości Czarne w woj. koszalińskim. Rośnie tam 515 cisów. Niektóre z nich mają już ponad 400 lat.

●

BARDZO surowe przepisy dotyczące przywozu zwierząt obowiązują w Wielkiej Brytanii od 1837 r.

Pies lub kot może być wpuszczony na Wyspy Brytyjskie dopiero po odbyciu kwarantanny trwającej 6 miesięcy. Zwierzę przebywa wówczas w jednej z 70 stacji kwarantanny. Opłata za jego pobyt wynosi obecnie 600 funtów. Za przemycanie domowych ulubieńców grozi wysoka grzywna lub rok więzienia. I dla nikogo nie ma wyjątków.

●

NAJWYŻEJ położoną miejscowością w Polsce jest Gubałówka (część Zakopanego). Znajduje się ona na wysokości 1125 m nad poziomem morza. Najniżej zaś leży Żuławiec na Żuławach w woj. elbląskim. Położony jest 1,3 m poniżej poziomu morza.

Nasza okładka:

Wakacje w pełni

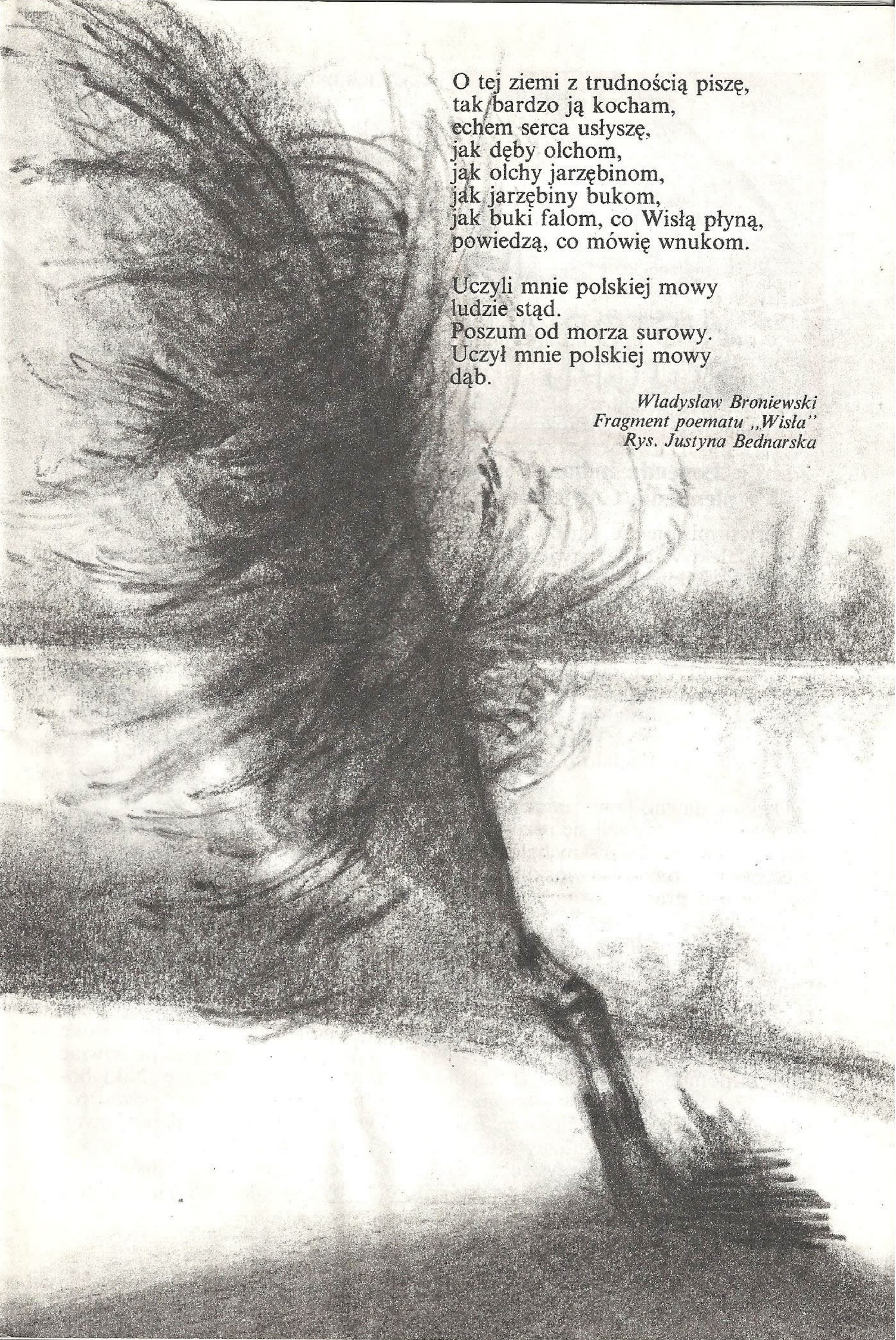

O tej ziemi z trudnością piszę,
tak bardzo ją kocham,
echem serca usłyszę,
jak dęby olchom,
jak olchy jarzębinom,
jak jarzębiny bukom,
jak buki falom, co Wisłą płyną,
powiedzą, co mówię wnukom.

Uczyli mnie polskiej mowy
ludzie stąd.
Poszum od morza surowy.
Uczył mnie polskiej mowy
dąb.

Władysław Broniewski
Fragment poematu „Wisła"
Rys. Justyna Bednarska

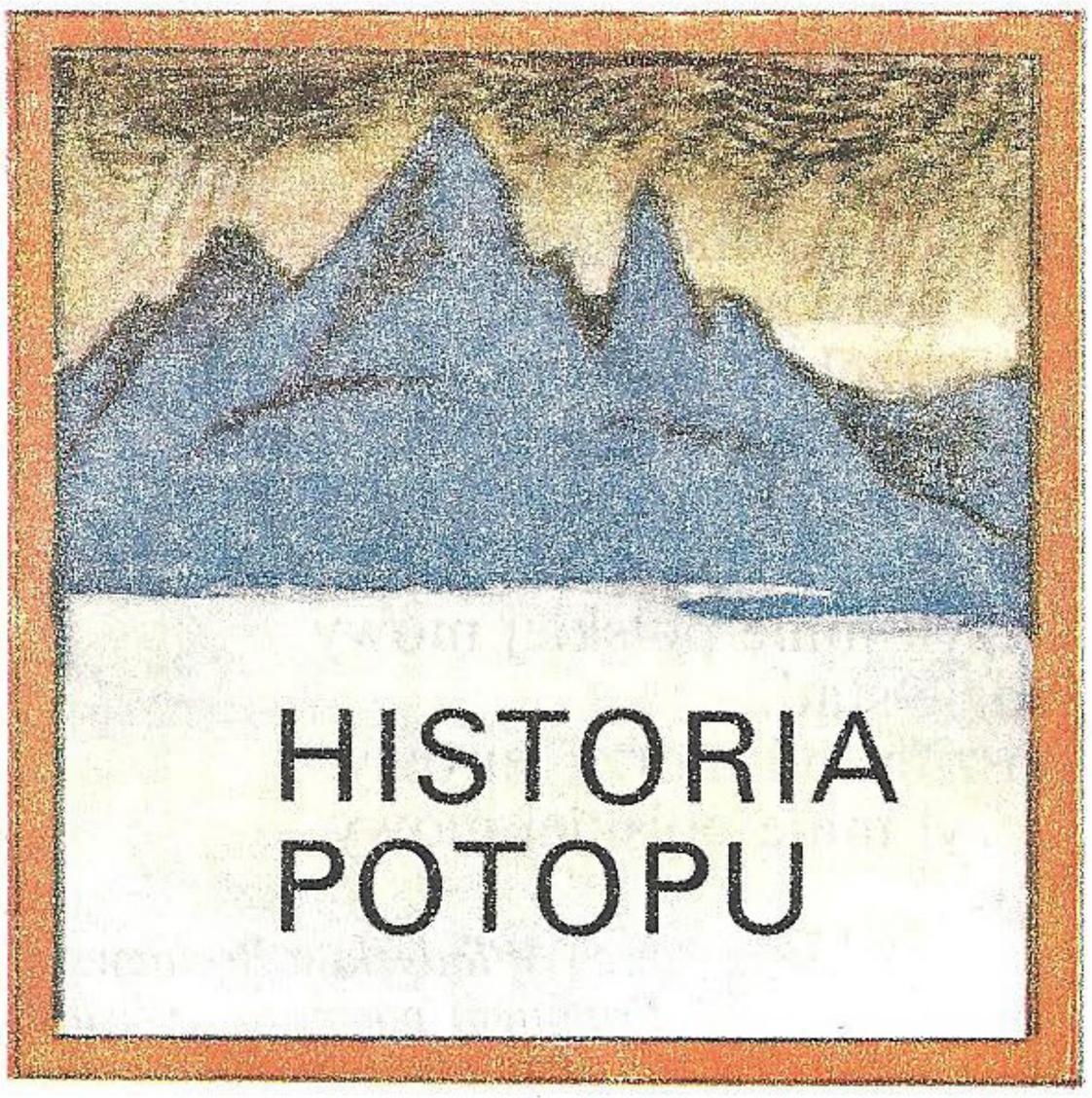

HISTORIA POTOPU

Legenda Indian z plemienia Cowichan

Pierwsi misjonarze, którzy przybyli na Daleki Zachód, stwierdzili, że Indianie zachowali tradycję wielkiej powodzi, bardzo podobną do biblijnej historii o Noem i potopie. Indianie z plemienia Squamish opowiadali o łodzi, w której ich ocaleni wówczas przodkowie zatrzymali się na jednym ze szczytów w Górach Kaskadowych.

Plemię Cowichan z Wyspy Vancouver tak oto opowiadało o potopie:

Dawno, dawno temu ludzie tak się rozmnożyli, że musieli się rozproszyć po całym lądzie. Zwierzyny było mało, więc różne gromady i wioski zaczęły się kłócić o granice swoich terenów łowieckich.

W tych czasach ludzie już umieli bardzo zręcznie wycinać wiosła do kanu, pleść koszyki i wyprawiać skóry. Z korzeni i kory cedrowej sporządzali tkaninę i z niej szyli odzież. Z pni cedrowych wydrążonych i wygładzonych za pomocą ostrych muszli robili kanu, zakończone po obu stronach tępo jak płaskodenne łodzie. Byli wśród nich mądrzy ludzie, którzy umieli przepowiadać przyszłość. Ci mędrcy zaczęli się niepokoić, bo dręczyły ich natrętne sny zwiastujące zagładę rodzaju ludzkiego. Bardzo zatroskani opowiadali sobie nawzajem te złowróżbne wizje.

— Miałem dziwny sen — mówił jeden z nich. — Śniło mi się, że spadł wielki deszcz i wszystkich nas potopił.

— A mnie się śniło, że rzeka wystąpiła z brzegów — powiedział drugi — i wszyscy zginęliśmy.

— Mnie się przyśniło to samo — oświadczył trzeci.

— I mnie także — powiedział czwarty.

Nie rozumiejąc, co te sny znaczą, zwołali naradę, by ludzie postanowili, co trzeba zrobić.

— Związmy wszystkie nasze kanu tak, żeby z nich powstała olbrzymia tratwa — rzekł jeden z mówców podczas narady.

Wielu z nich się zgodziło, inni jednak go wyśmiali, nie wierząc, że sny mają wróżebne znaczenie.

Ci, którzy przyznali temu człowiekowi rację, wzięli się zaraz do budowania tratwy. Pracowali przez kilka miesięcy, bo najpierw sporządzili z pni cedrowych dużo mocnych kanu, a potem je połączyli długą liną z cedrowej kory. Taką samą, ale jeszcze grubszą i dłuższą liną przywiązali tratwę do szczytu góry Cowichan przewlekając linę przez środek ogromnego głazu.

Ten głaz, który im posłużył na kotwicę, po dziś dzień leży na wierzchołku góry Cowichan.

Przez cały czas inni ludzie, którzy nie wierzyli w sny, śmiali się z tych, co budowali tratwę, szydzili z nich. Ale gdy po kilku miesiącach pracy spuszczono połączone kanu na zatokę Cowichan, wszyscy musieli podziwiać olbrzymią i piękną tratwę. Nikt bowiem nigdy przedtem nie widział równie wielkiej tratwy ani tak potężnych lin z kory cedrowej.

Wkrótce potem zaczął padać deszcz. Krople były wielkie jak kulki gradu

i tak ciężkie, że zabijały niemowlęta. Rzeki wystąpiły z brzegów, woda wypełniła doliny. Ludzie wspinali się na szczyt góry Cowichan, ale i on został po pewnym czasie zalany.

Kiedy się zaczął deszcz, mądrzy ludzie, ci, którzy uwierzyli przestrogom objawionym w snach, weszli na tratwę razem z rodzinami i zapasami żywności. Tratwa stopniowo podnosiła się coraz wyżej na wzbierającej wodzie. Ludzie żyli na niej przez wiele dni, nie widząc nic prócz siebie nawzajem i wielkiej wody dokoła. Nawet góry zniknęły.

Deszcz nie ustawał i ludzie musieli wylewać z tratwy wodę czerpakami z cedrowej kory. Byli przerażeni i modlili się o ratunek. Ale pomoc nie nadchodziła.

W końcu deszcz ustał. Wody z wolna opadały i po jakimś czasie tratwa osiadła na szczycie góry Cowichan. Lina z kory cedrowej i kamienna kotwica tam ją przytrzymały. Ze szczytu ludzie śledzili ustępowanie powodzi, aż wreszcie pewnego dnia zobaczyli wynurzającą się z wody ziemię swojego kraju.

Ale jakie spustoszenie ujrzały ich oczy! Domy zniknęły, doliny niegdyś zielone od lasów były teraz brunatne od błota i zwalonych pni. Ze smutkiem i zarazem radością powrócili na dawne miejsca. Zabrali się do odbudowy wiosek i podjęli na nowo życie.

Minęło wiele lat, rodzaj ludzki bardzo się rozmnożył i gęsto zaludnił całą krainę. Znów powstały kłótnie, i to tak zażarte, że ludzie postanowili się rozdzielić. Część poszła w jedną stronę, a część w przeciwną. I w ten sposób ludzie się rozproszyli po całej ziemi.

Ella Elizabeth Clark

Tłumaczyła Maria Skibniewska

Z książki „Legendy Indian kanadyjskich"

Rys. Maria Mackiewicz

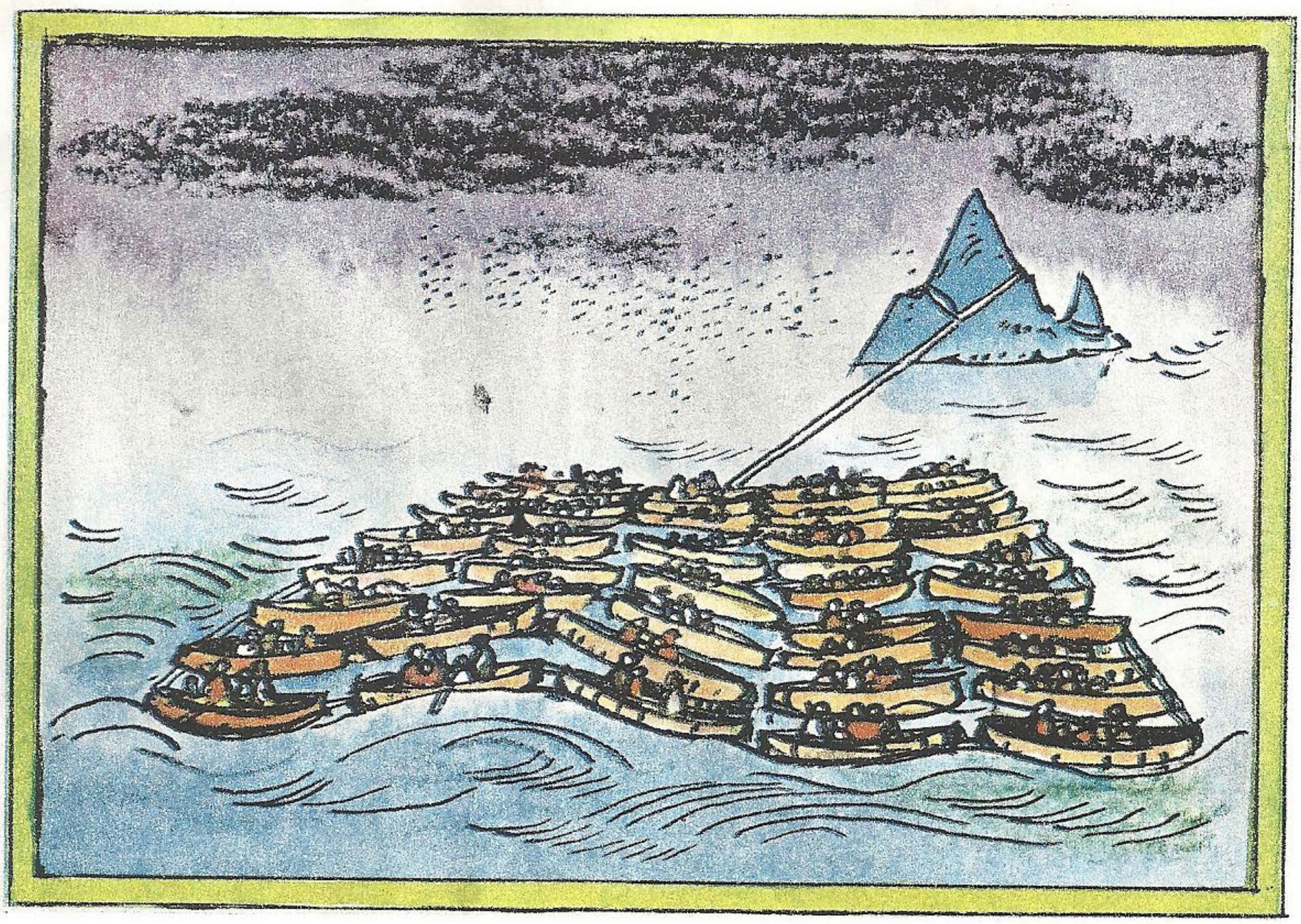

LIPIEC

Dokoła zieleń,
las o dwa kroki...
W chabrowym niebie
płyną obłoki.

Ucichł na chwilę
gwar obozowy,
umilkły ptaki
w cieniu sosnowym.

Pachnie gdzieś pole
dojrzałym słońcem,
słychać, jak wietrzyk
kłosy potrąca.

Flaga ku górze
na maszt się wspina,
stoi na baczność
cała drużyna.

Na ziemi polskiej,
od gór do morza,
szumią i pachną
lipcowe zboża.

Jan Galkowski
Fot. Stefan Rutkowski

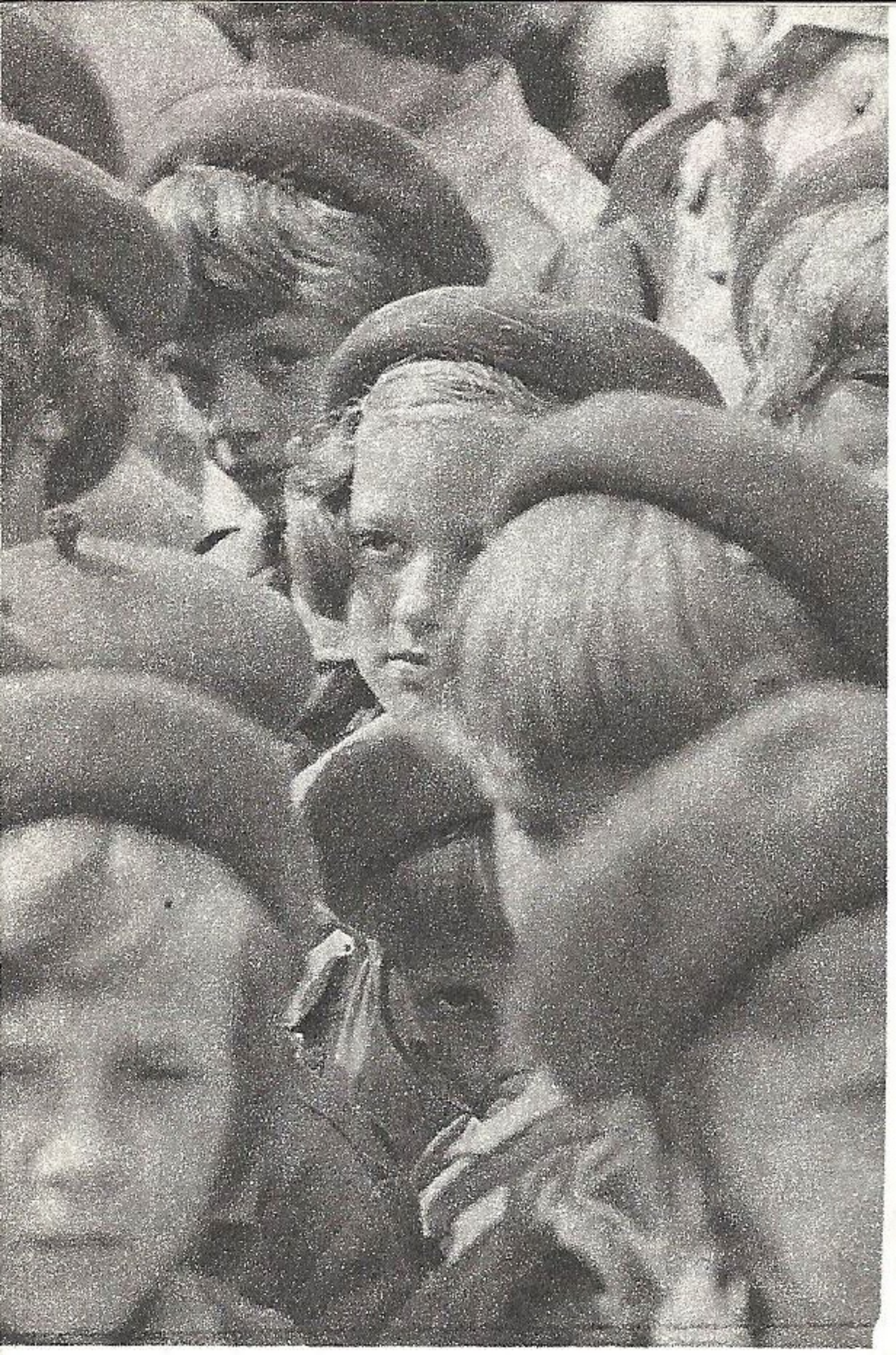

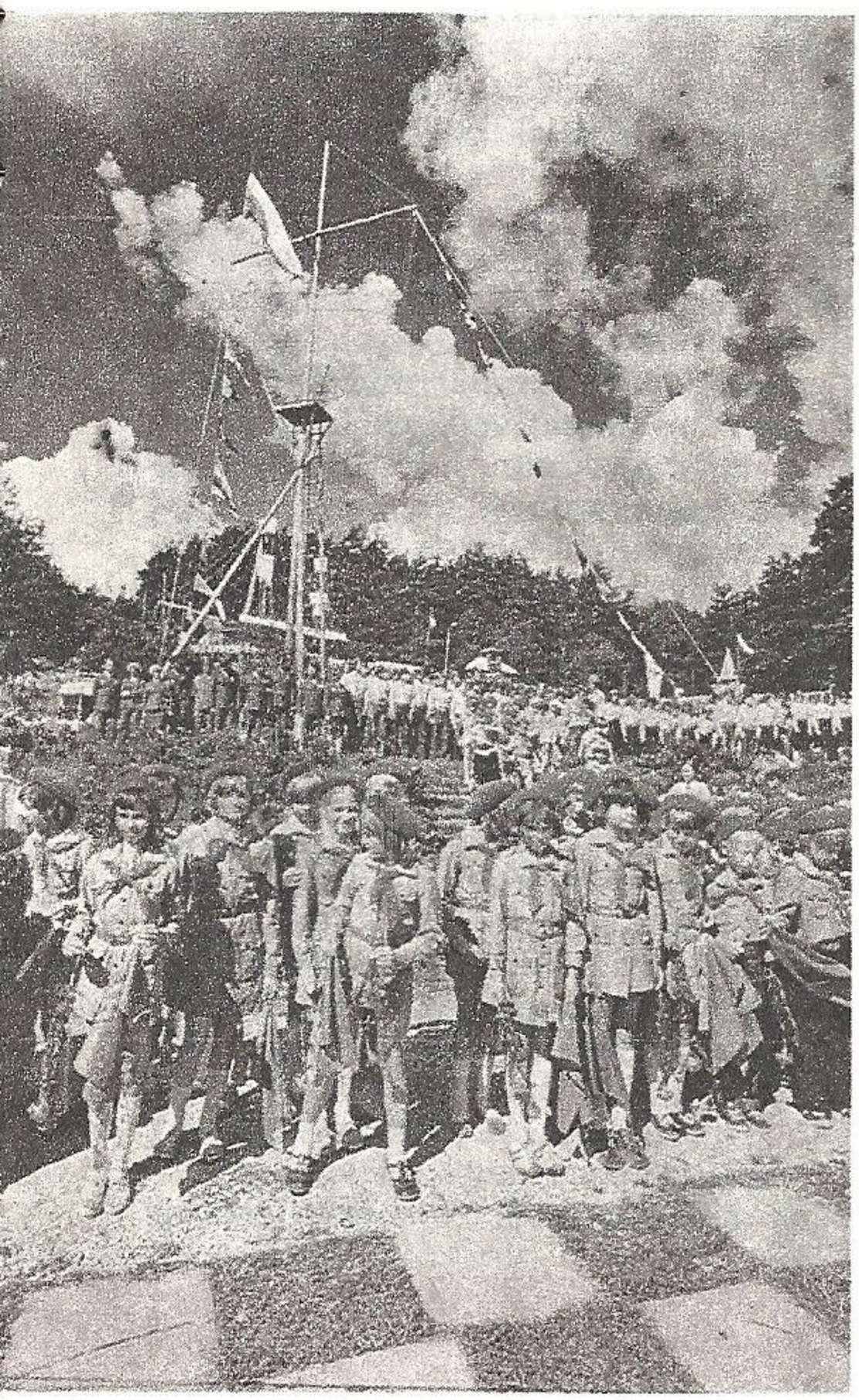

RATUNEK

Trałowiec „Sollum" tonął. Nie dlatego, że zdarzyła się awaria czy wypadek. Po prostu okręt nie wytrzymywał furii sztormu i „rozłaził się w szwach". Dowódca okrętu, Abd-er-Rauf Gharbo, przez chwilę patrzył na zalane bryzgami piany okna pomostu nawigacyjnego, na szalejące morze. Morze Śródziemne — opiewane przez poetów i barwne foldery, konkurujące na pocztówkach lazurową barwą z błękitem nieba — to marzenie turystów. To morze teraz nie było podobne do barwnej widokówki. Było szare, spienione, wściekłe, smagane wichurą z północnego zachodu. Na dziób sztormującego okrętu co chwilę waliła się lawina spienionej wody, rozbryzgując się wachlarzem piany o ścianę pomostu. „Sollum" wstrząsał się wtedy i niemal dosłyszalnie rzęził w swych wiązaniach.

Korweta — takie oficjalne oznaczenie miał w królewskiej marynarce Egiptu — nie była nowa. Jako brytyjski „Wedgeport" przeżyła ciężkie lata wojennej służby w zespołach trałowych, by w roku 1946 wraz z dwoma bliźniaczymi jednostkami trafić pod egipską banderę. Siedem lat służby pod nią też nie przeszło bez echa. Brak było części, remont przeprowadzano nieregularnie i dość powierzchownie — okręt po prostu dożywał swych lat.

Abd-er-Rauf zacisnął pięści. Przecież o tym wszystkim wiedziano w dowództwie marynarki. Czy należało taki okręt wysyłać w narastający sztorm z Aleksandrii? Z portu, który dwie godziny wcześniej został już zamknięty dla nawigacji — właśnie z uwagi na sztorm? W dodatku okręt przeładowany ludźmi, na którym obok sześćdziesięcioosobowej załogi zaokrętowano ponad pół setki żołnierzy — bez pasów ratunkowych, bez tratew i pontonów, jak na zwykłą przejażdżkę po porcie. Teraz „Sollum" ma na pokładzie 114 ludzi, wodę w maszynowni z coraz liczniejszych przecieków i uszkodzony ster.

Do sterowni wszedł, a raczej wpadł pierwszy oficer — wraz z wściekłym porywem wiatru.

— Depesza z admiralicji — zameldował. — Wyrażają zgodę na zawrócenie do portu, jeśli dalszy rejs jest niemożliwy.

Abd-er-Rauf wzruszył ramionami.

„Oby tylko był możliwy powrót" — pomyślał, śledząc przez chwilę wodne zwały i majaczącą daleko przed nimi jasną kreskę kadłuba jakiegoś statku, równie jak oni walczącego ze sztormem.

— Woda wdziera się do maszynowni! — nadszedł zdyszany meldunek.

▶

— Rufowy pokład pod wodą! — nadbiegł drugi.

— Radiotelegrafista nie żyje. Atak serca! — dotarł trzeci meldunek, najgorszy.

Liczyły się teraz minuty, może sekundy. Jedyna nadzieja mogła być tylko w sztormującym w dali obcym statku.

— Sygnały świetlne! Nadawać SOS lampą błyskową! Na Allacha, prędzej! Oby tylko zauważyli!

Klekot lampy utonął w wyciu sztormu i huku fal.

Motorowiec „Czech" także ciężko walczył ze sztormem. Starszy o kilka lat od egipskiego okrętu, był większy od niespełna siedmiusettonowej korwety i nieco lepiej opierał się wielkiej fali. Ale i na nim nie było lekko. Statek z wysiłkiem przebijał się przez wodne góry, raz wraz walące się na pokład i chlustające w okna sterowni. Na stromej fali statek nurzał się ciężko i kołysał coraz gwałtowniej. Wycie i zawodzenie wichury stapiało się w jedno z pulsującym grzmotem fal. Po przejściu kolejnego grzywacza oficer wachtowy rzucił okiem w kierunku zauważonego wcześniej, sztormującego o jakieś 4 mile dalej szarego „wojniaka".

Majaczył między grzbietami fali i migała na nim żółta iskra światełka. Oficer wcisnął okulary w oczodoły.

— Psiakrew, to morse! Tylko strasznie chaotyczny! Ale tak — nie ma wątpliwości, nadaje SOS! Wzywa pomocy!

Przywołany meldunkiem kapitan „Czecha", Ruszczyński, stwierdził to samo. Obcy okręt wzywał ratunku — światłem i barwnymi plamkami sygnałów flagowych. W eterze natomiast panowała cisza — sygnałów SOS nie było.

Dowódca „Czecha" przez chwilę ważył decyzję. Zwrot i postawienie statku w dryf były przy tej fali ryzykownym manewrem. O spuszczeniu łodzi nie można było nawet marzyć. Podejście do bezwładnego wraka mogło łatwo skończyć się w tych warunkach kolizją i nieuchronną katastrofą. Ale tam przecież ginęli ludzie. W tym huraganie nie mieli żadnej szansy na ratunek...

— Alarm szalupowy — powiedział do oficera wachtowego głośniejszym może niż zwykle głosem. — Siatki, koła, sztormtrapy i liny na całą lewą burtę! — Po zwrocie podchodzimy i stajemy w dryf. Wszyscy na pokładzie w pasach! Maszyna — cała naprzód!

Rozkrzyczały się dzwonki, rozległy komendy, zaroiły się przejścia i korytarze biegnącymi ludźmi.

Morze pokazało zęby już przy zwrocie. Dwukrotnie uderzony potwornymi grzywaczami „Czech" sięgnął niemal 60° przechyłu. W sterowni, w kabinach poleciał na podłogi grad przedmiotów, zwalili się z nóg ludzie. Zwijający się na pokładzie marynarze kurczowo czepiali się relingów, lin, wsporników, by przetrzymać walące się wodne ściany i nie dać się zmyć. Po zwrocie statek, ciężko walcząc z falą, wolno zbliżał się do tonącego okrętu.

Z odległości niespełna 200 metrów widać było całkowicie już pogrążony rufą trałowiec. Ludzie z „Czecha" ujrzeli z przerażeniem, jak spuszczana z żurawików łódź zrywa się na nim z talii, zawisa jednym końcem i rzucona falą rozbija się w drzazgi o burtę. Posypały się z niej w morze ciemne ludzkie sylwetki. Inni skakali w spienione morze usiłując dotrzeć do nielicznych zrzuconych tratewek. Na zalewanych co chwila falą pokładach kłębił się tłum krzyczący, wyjący, wymachujący rękami, miotający się bezradnie wzdłuż burt.

Fala i wicher znosiły szybko „Czecha" na wrak. Jeśli nie miał się z nim za chwilę zderzyć, trzeba było raz jeszcze wykonać zwrot i podejść od drugiej burty.

Chociaż starano się jak najszybciej wykonać manewr — dla tych na tonącym okręcie musiał on trwać całą wieczność. Na „Czechu" nie było czasu, aby myśleć o tym: wszyscy zwijali się jak w ukropie, przerzucając mimo pięćdziesięciostopniowych przechyłów pajęczą sieć lin na drugą burtę.

Rozpoczęła się akcja ratunkowa.

Tej godziny — od 18.00 do 19.05 — załoga „Czecha" nie zapomni nigdy. Przewalający się bezwładnie w dryfie statek. Uciekający spod nóg pokład, na który co chwila waliła się masa spienionej wody. Miotające się za burtą mrowie czarnych głów, z których coraz to któraś ginęła wśród pian na zawsze. Przeraźliwe krzyki i wołania. Czepiający się rozpaczliwie lin ludzie, wciągani na nich zdartymi do krwi rękami marynarzy. Bełkoczący, nieprzytomni, otępiali ludzie na pokładzie — jeszcze ciągle nie mogący uwierzyć, że już są ocaleni.

Po niespełna półgodzinie „Czech" musiał zrobić jeszcze jeden zwrot, by podejść znów bliżej do wraka i pływających w wodzie ludzi, gdyż fale zniosły go w dryfie za bardzo do tyłu.

Umiejętne, precyzyjne manewry maszyną i sterem, minuty walki z falą — i akcja rozpoczęła się na nowo.

Ale głów już coraz mniej. W zapadającym zmroku widnieją tylko jakieś szczątki, odłamki i nienaturalnie rozdęte wodą ubrania bezwładnie rzucanych falą zwłok.

Wśród ostatnich trzech uratowanych, uczepionych do drewnianej ławki, jest dowódca „Sollum", Abd-er-Rauf, który jako ostatni

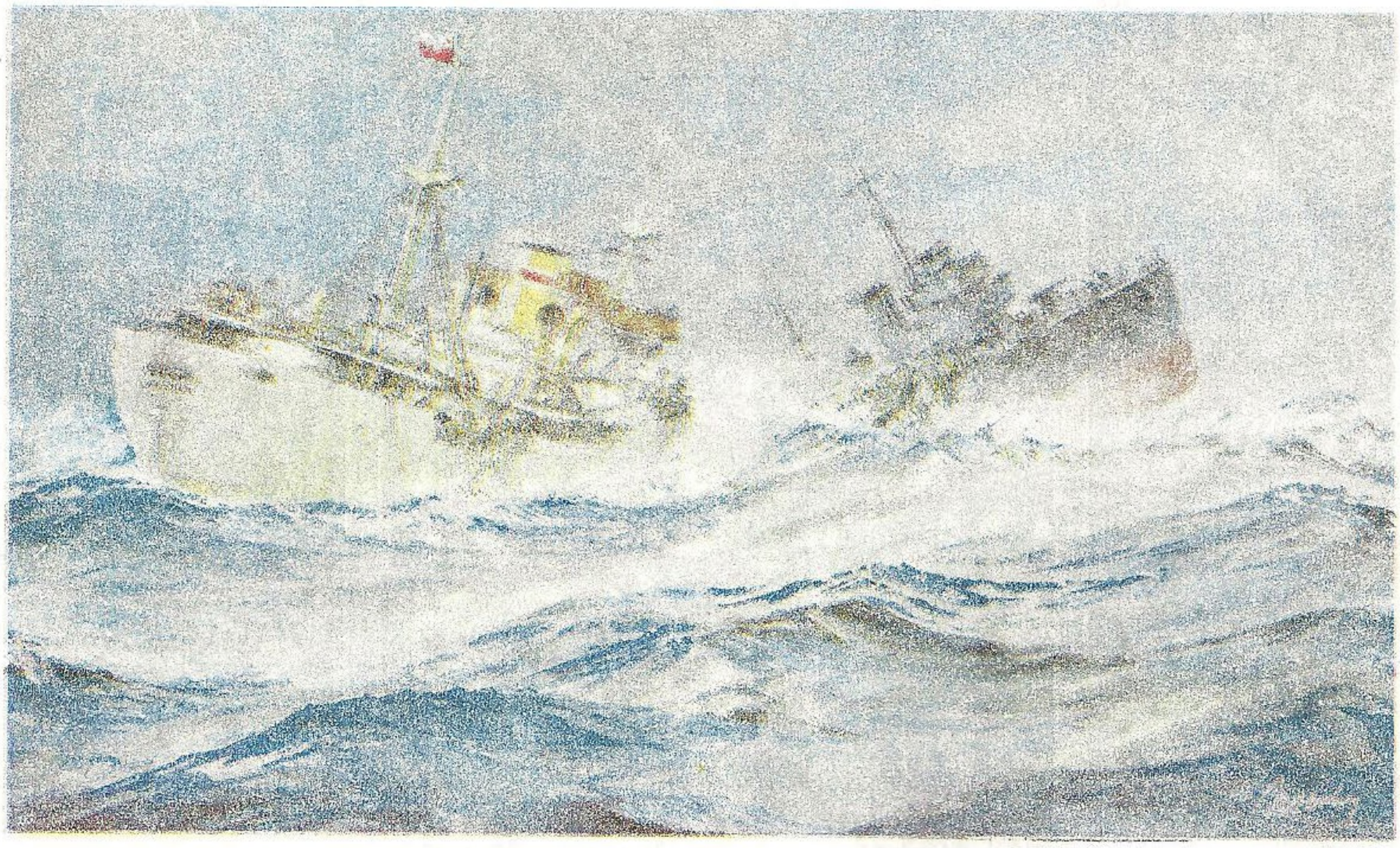

Rys. Adam Werka

opuścił tonący statek. Niemal równocześnie sterczący jeszcze z wody dziób trałowca podrywa się w górę, okręca się w bok i niknie pod falą. Naokoło huczy teraz tylko ciemne, spienione morze. Reflektory „Czecha" nie odnajdują już nikogo wśród wodnego odmętu.

Akcja jest zakończona. 7 marca 1953 roku godzina 19.05.

Motorowiec bierze kurs na Aleksandrię. W jego pomieszczeniach rozgrywa się drugi akt dramatu. Opatrywanie rannych — Egipcjan i ludzi z załogi „Czecha". Okrywanie niemal nagich rozbitków, rozgrzewanie ich, owijanie kocami, karmienie. Próby ratowania nieprzytomnych i na pół utopionych. Jednego, głównego inżyniera-mechanika z „Sollum", młodego Abd-el-Karima, nie udaje się uratować — umiera nie odzyskawszy przytomności.

Uratowanych w dramatycznej, bohaterskiej niemal akcji zostało 62 ludzi — wraz ze zmarłym Karimem. Ponad pół setki — 52 pochłonęło morze. Efekt niepotrzebnego, bezmyślnego, nie liczącego się z realiami rozkazu. W 15 godzin później, przy cichnącym już sztormie „Czech" wchodzi do portu w Aleksandrii. Do portu, w którym wtedy — w roku 1953 — marynarzom z „komunistycznych statków", w tym i polskich, w ogóle nie wolno było wychodzić na ląd.

Ale owego 8 marca było inaczej.

„Czecha" witały syreny, gale flagowe i salut wszystkich okrętów i statków egipskich. A potem...

Oficjane wizyty — gubernatora, dowódcy floty i samego premiera rządu egipskiego. Odznaczenia. Artykuły w prasie, wywiady, zdjęcia. Wycieczki. Odwiedziny rannych w szpitalu. Udział w pogrzebie ofiar. I szczery entuzjazm, z którym zetknęli się polscy marynarze. U prostych, zwykłych ludzi, którzy nieraz w drobny, nieporadny sposób okazywali swoje uczucia bodaj chęcią małej usługi: odmową przyjęcia zapłaty za naprawiony zegarek, bezpłatnym kursem dorożki, propozycją — nie przyjętą zresztą — gratisowego uszycia ubrań dla załogi. Może to więcej znaczyło niż pompatyczne telegramy z podziękowaniami? Dzielny „Czech" i jego załoga nie tylko uratowali 62 skazanych na śmierć ludzi. Zrobili zarazem wiele dla dobrego imienia Polski w dalekim Egipcie. Więcej niż najlepsza nawet oficjalna propaganda.

*

Chłodniowiec „Czech", jeden z trójki bliźniaczych norweskich bananowców, zakupiony został dla polskiej bandery w roku 1949 celem zastąpienia statku „Lech", który pół roku wcześniej zatonął na zabłąkanej powojennej minie. Przez 15 lat pływał na różnych liniach — i w trampingu — pędząc pracowity, użyteczny morski żywot. Dokonał go w roku 1965, jako trzydziestoletni weteran pod palnikami stoczni złomowej w Gdańsku.

Dzielny był mały, zgrabny „Czech"!

Jan Piwowoński

Z książki „Flota spod biało-czerwonej"

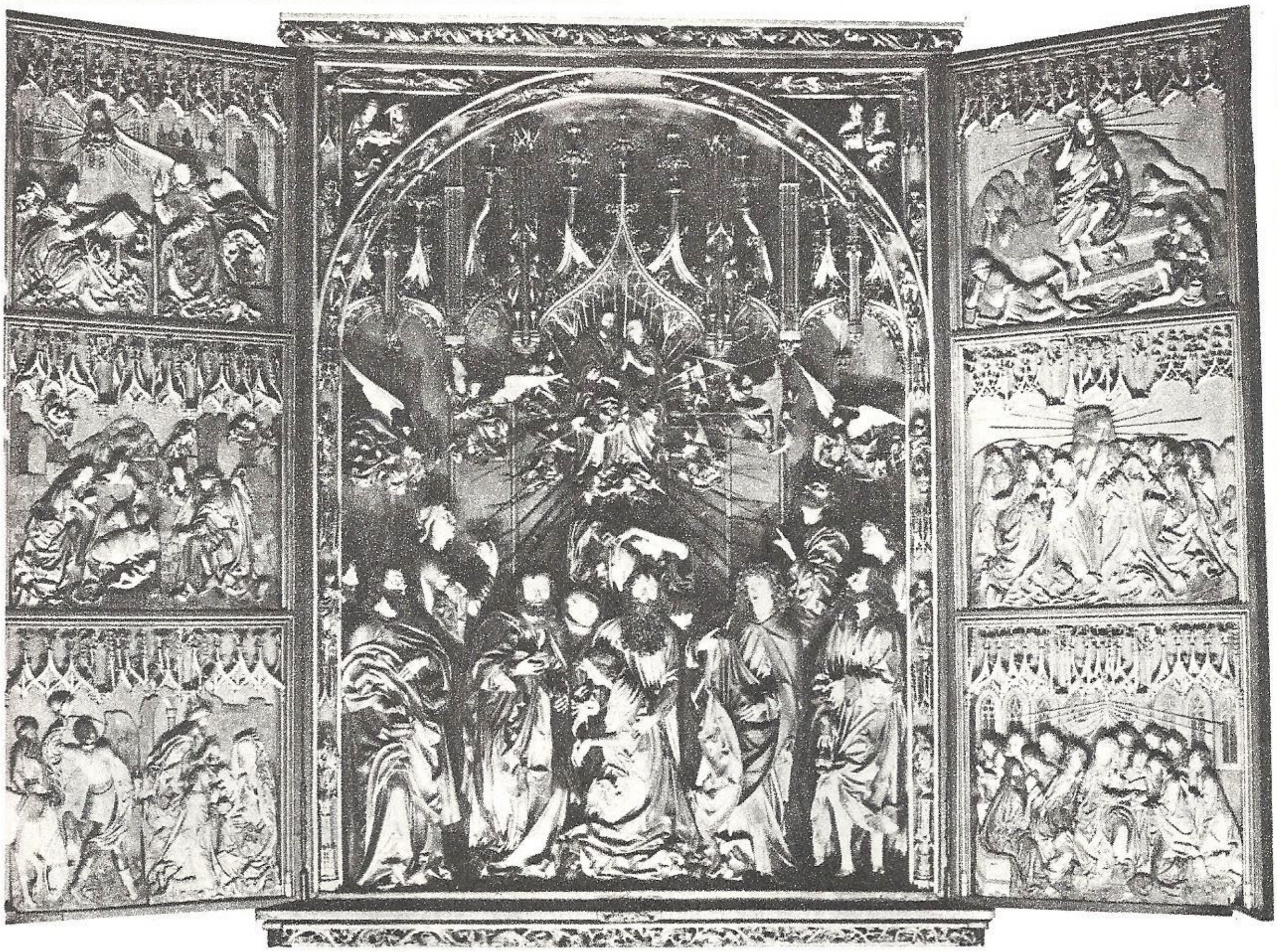

OŁTARZ WITA STWOSZA

Ołtarz Wita Stwosza powstał w drugiej połowie XV w. za panowania Kazimierza Jagiellończyka, w okresie rozkwitu nauki i sztuki państwa polskiego. Kraków był już wtedy bogatym miastem, otoczonym podwójnym pierścieniem murów obronnych z basztami i Barbakanem. Królestwo Polskie po unii z Litwą i zwycięstwie nad Zakonem Krzyżackim wchodziło w okres świetności, zwany później złotym wiekiem Jagiellonów. Długi okres pokoju sprzyjał rozwojowi miast, handlu i gospodarki, bogaceniu się szlachty i mieszczaństwa. Rozkwitała nauka i sztuka, wznoszono wspaniałe budowle, a rady miejskie poszczególnych miast angażowały artystów i rzemieślników dla ich upiększenia.

Kraków był wówczas największym miastem Polski, był stolicą państwa, siedzibą dworu królewskiego i uniwersytetu. Był także ważnym węzłem handlowym pełniącym rolę tranzytową między zachodem a wschodem Europy. Sprzyjało to wzrostowi zamożności mieszczan krakowskich. Fundowali oni nowe kościoły, budowali kamienice. Postanowiono też przyozdobić wspaniały kościół Mariacki nowym ołtarzem. Poszukiwano zdolnego artysty — rzeźbiarza, a że związki artystyczne Polski i Niemiec były wtedy dość silne, zaproszenie otrzymał Wit Stwosz z Norymbergi.

Przybył on do Krakowa jako młody rzeźbiarz i tutaj dokonał dzieła swego życia. Pierwszy jego pobyt w 1474 r. w Krakowie trwał krótko, chodziło zapewne o omówienie i zaplanowanie pracy nad Ołtarzem. W 1477 r. Wit Stwosz przyjechał już na stałe. Wstępne prace trwały kilka lat. Trzeba było przygotować materiał w ilości kilkunastu ton lipowego drewna. Odpowiednio pocięte pnie lipowe musiały przejść okres suszenia, aby mogły nadawać się do pracy. Ołtarz powstawał według dokładnego planu przygotowanego przez mistrza. Pracownia Stwosza mieściła się na rogu ulic Grodzkiej i Senackiej, tam właśnie trwała dwunastoletnia praca nad Ołtarzem. Mistrz nie tworzył sam, wraz z nim rzeźbiło kilkunastu czeladników i uczniów. Wykonywali oni pomniejsze figury, detale i ozdoby ołtarza. Figury główne rzeźbił sam Stwosz. Powstało dzieło wspaniałe, zarówno pod względem artystycznym, jak i wielkości. Ołtarz Mariacki jest największym gotyckim ołtarzem w Europie. Jego wysokość wynosi 13 m, a szerokość 11 m. Największe figury mają do 2,80 m wysokości. Ołtarz zbudowany został według popularnego w średniowieczu wzoru — w kształcie otwieranej szafy, na której drzwiach w wydzielonych

prostokątnych polach umieszczone są rzeźby przedstawiające poszczególne sceny. Po otwarciu drzwi widoczna jest scena główna — Zaśnięcie i Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny. Ołtarz charakteryzuje moc szczegółów. Widzimy tam mieszczan, patrycjuszy, żebraków, żaków, detale ich strojów.

Nie ma ścisłych przekazów, jak wyglądała rzeźbiarska pracownia mistrza Wita, ale można ją sobie wyobrazić. Mieściła się zapewne na dziedzińcu gotyckiej kamienicy o wąskim, spiczastym dachu. Na podwórzu panował gwar, noszono drewniane elementy figur, montowano rusztowania. Poszczególne części przewożono do kościoła na ogromnych platformach. Do zmontowania Ołtarza użyto specjalnych linowych bloków umocowanych w dachu kościoła, do dziś pozostały po nich ślady. Ustawianie Ołtarza trwało dość długo, z uwagi na jego wielkość i ciężar. W dniu 25 lipca 1489 r. w obecności króla Kazimierza Jagiellończyka, biskupów, dworu królewskiego, mieszczan i ludu, nastąpiło odsłonięcie i poświęcenie Ołtarza. Wit Stwosz otrzymał za swą pracę 2808 florenów od rady miasta Krakowa, a król ofiarował mu łańcuch kuty ze złota.

Stwosz mieszkał w Krakowie do 1496 r. Nie wiadomo dokładnie, co skłoniło go do opuszczenia Krakowa, posiadał tu bowiem sławę i powodzenie. Wyjechał do Norymbergi na krótko, lecz pobyt czasowy zmienił niespodziewanie w stały. Życie w Norymberdze przyniosło artyście rozczarowanie i wielkie przykrości. Borykał się z władzami miejskimi, prawował, był więziony. Mimo to rzeźbił nadal, stworzył jeszcze dwadzieścia dzieł. Zmarł w 1533 r., mając 85 lat. Krakowowi zostawił swoje największe dzieło i... „serce jak jabłko na jabłoni, a skonał w Norymberdze i nikt nie płakał po nim" — napisał w poemacie „Wit Stwosz" Konstanty Ildefons Gałczyński.

Ołtarz Mariacki przechodził różne koleje losu. Pierwsza odnowa dokonana na koszt rady miejskiej odbyła się w połowie XVII w., a jej ślady w postaci przemalowań widoczne były jeszcze w latach trzydziestych XX w. Wraz ze zmianą stylów gotycki Ołtarz Mariacki przestał odpowiadać gustom i smakom artystycznym. W związku z tym miał zostać usunięty i zastąpiony przez inny. Ołtarz uratowała śmierć zwolennika barokowego stylu — proboszcza Jacka Łopackiego. W 1795 r. przeprowadzono ponowną renowację dosyć już zniszczonego Ołtarza. Poważnie zajęto się nim w XIX w. Ambroży Grabowski, badacz starożytności krakowskich, wydobył z zapomnienia nazwisko Wita Stwosza, odszukał źródła odnoszące się do dziejów budowy Ołtarza. Powstał wtedy Komitet Restauracji, do którego należał m. in. Jan Matejko. Odnowiono wówczas polichromię, uzupełniono część rzeźb i ornamentów. Tuż przed wybuchem II wojny światowej polscy uczeni, przewidując rabunek dóbr kultury przez Niemców, postanowili ratować Ołtarz. Wywieziono ten bezcenny skarb barkami Wisłą do Sandomierza. Transport wpadł jednak w ręce Niemców i dzieło Stwosza znalazło się w Norymberdze. Na swoje prawowite miejsce Ołtarz powrócił 30 kwietnia 1946 r. Poddano go gruntownej rekonstrukcji i renowacji w pracowni na Wawelu. Prace te objęły ponad 80% polichromii, tak, że Ołtarz wrócił do pierwotnego wyglądu. Koszt renowacji wyniósł wówczas 12 mln złotych. W maju 1957 r. przekazano odnowiony Ołtarz kościołowi Mariackiemu. Jest on najwspanialszym dziełem rzeźbiarskim późnego średniowiecza.

Janina Datko

Fragment Ołtarza

NARODZINY WODOSPADU NIAGARA

Legenda Indian z plemienia Seneków

Żyła niegdyś w plemieniu Seneków piękna dziewczyna, którą rodzice obiecali dać za żonę pewnemu staremu i szpetnemu mężczyźnie. Dziewczyna nie chciała takiego męża, ale ojciec uparł się przy swoim postanowieniu.

Nie widząc innej rady biedaczka wsiadła w swoje kanu i pchnęła je w rwący nurt rzeki Niagary. Wolała zginąć we wzburzonej wodzie niż żyć ze znienawidzonym człowiekiem.

Na drugim brzegu bystrej rzeki mieszkał w jaskini Gromowładca, rządzący chmurami i deszczem, strażnik plonów. Jako przyjaciel i opiekun plemienia Seneków zauważył kanu, a w nim dziewczynę z wyrazem rozpaczy na twarzy. Wiedział, że jej czółno lada chwila rozbije się o skały. Rozpostarł więc skrzydła i poleciał na ratunek.

W ostatnim momencie zdążył pochwycić dziewczynę, zanim kanu roztrzaskało się w drzazgi.

Spędziła kilka tygodni w jaskini Gromowładcy, który ją nauczył wielu rzeczy. Na przykład dowiedziała się, dlaczego tak wielu jej współplemieńców umiera przedwcześnie, a febra stale zabiera w ich wiosce ofiary.

— W głębi ziemi pod waszą wioską leży zwinięty olbrzymi wąż — rzekł Gromowładca. — Wypełza ze swego legowiska i zatruwa źródła, bo żywi się ciałami umarłych ludzi. Im więcej ich pożera, tym bardziej jest głodny. Nigdy by się nie nasycił, gdyby czekał, aż umrą śmiercią naturalną.

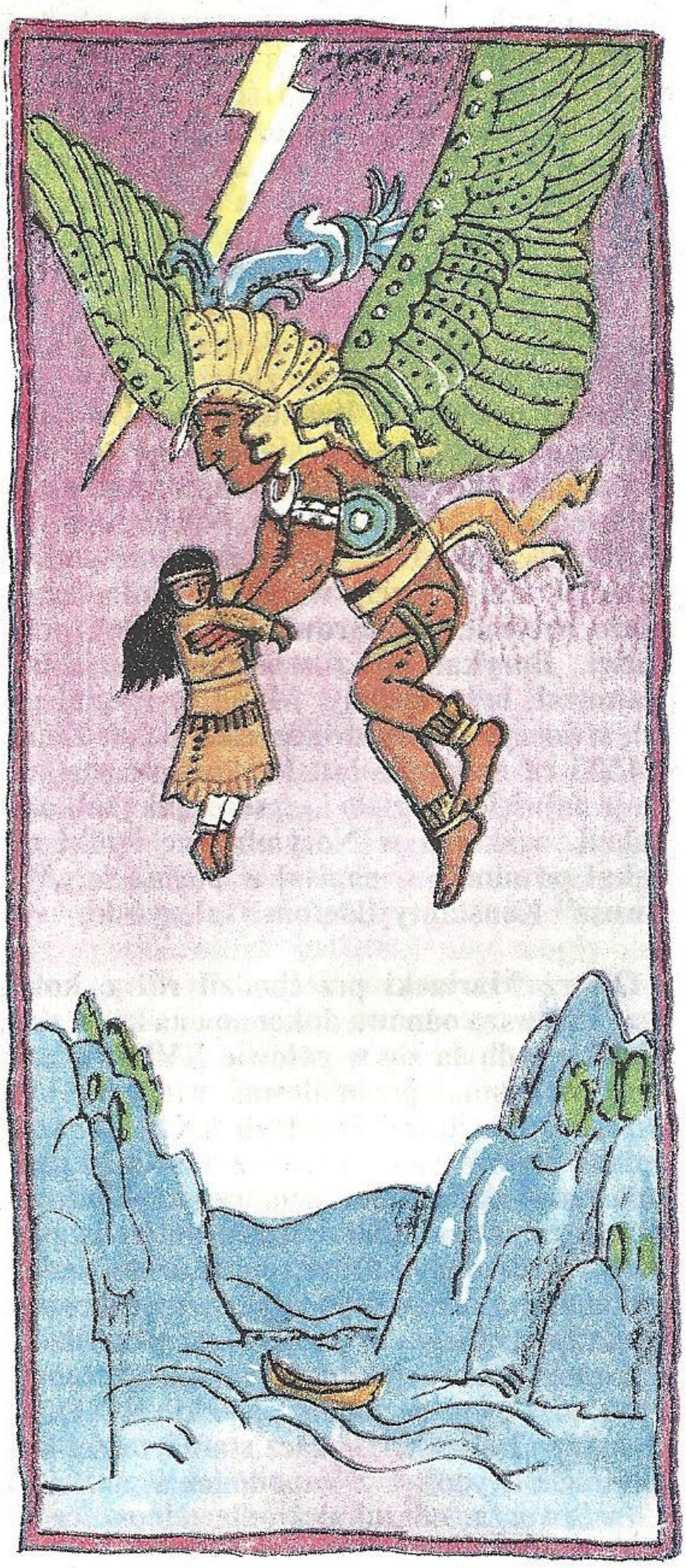

Rys. Maria Mackiewicz

— Cóż więc robić? — spytała dziewczyna. — Jak się bronić przed morderczym wężem?

— Twoje plemię musi opuścić wioskę, w której teraz mieszka, i przenieść się gdzie indziej, bliżej wielkiego jeziora — powiedział Gromowładca.

Przetrzymał dziewczynę w jaskini, dopóki nie umarł stary człowiek, któremu rodzicie chcieli ją dać za żonę.

— Teraz możesz wrócić do swoich — rzekł. — Powtórz im wszystko.

Dziewczyna dobrze pamiętała nauki Gromowładcy, a jej współplemieńcy usłuchali mądrych rad. Opuścili dawną wioskę i zbudowali nową w pobliżu wielkiego jeziora. Przez jakiś czas żyli tam szczęśliwie. Nie nękały ich żadne choroby.

Później jednak znów się pojawiła między nimi febra i Indianie marli od niej. Olbrzymi wąż przywlókł się za nimi i zamierzał w nowej wiosce zabijać nie mniej ludzi niż w starej. Gromowładca spostrzegł potwora pełznącego ku ludzkiej osadzie. Pewnej nocy, gdy wąż zbliżał się do strumienia, płynącego koło wioski, Gromowładca cisnął w niego gromem. Huk zbudził Indian, ale pocisk, chociaż zranił bestię, nie zabił jej.

Gromowładca w dalszym ciągu miotał gromy i nic ustał, póki wreszcie nie uśmiercił węża, truciciela wody.

Martwy potwór tak był wielki, że gdy go rozwinięto, ciągnął się na długość przeszło dwudziestu strzałów z łuku. Indianie zepchnęli węża do Niagary i przyglądali się, jak go unosi nurt rzeki.

— Jest wielki jak góra — mówili jeden do drugiego. — Czy się przeciśnie między skałami w miejscu, gdzie rzeka najbardziej zwęża koryto?

Olbrzymie cielsko rzeczywiście nie zmieściło się w cieśninie. Wbiło się jak klin między skały.

Woda musiała się spiętrzyć nad nim i po drugiej stronie opaść olbrzymią kaskadą. Pod ciężarem potwora skały się cofnęły i wygięły jak ogromny łuk.

Nigdy odtąd w wiosce Seneków nie pojawiła się już febra. Na Niagarze powstał olbrzymi wodospad w kształcie wielkiego, napiętego łuku, by przypominać Indianom o Gromowładcy, przyjacielu i opiekunic ich plemienia.

Ella Elizabeth Clark
Tłumaczyła Maria Skibniewska
Z książki „Legendy Indian kanadyjskich"

LIPOWY NAPÓJ

Zakwitły lipy na łące,
wokół pszczoły brzęczące.
Nektar zbierają na miód.
Mruczą pękate trzmiele,
obsiadły kwiaty pachnące.
I my schowajmy się w chłód.
Narwiemy kwiatów wór pełen.
W domu je wysuszymy.
Ogrzeje nas jak słońce,
lipowy napój w czasie zimy.

Magdalena Ficowska-Luszczek

LIPA

Ach, jak cudnie pachnie lipa,
z jej kwiatów są leki i wywary.
Kiedyś czarownice klękały pod lipą,
czyniły czary.

Lipa jest tak rozłożysta,
że konarami rozpycha powietrze.
Jej zapach nad polami unosi się słodko,
jak wonie łąki skoszonej — na wietrze.

Zbigniew Jerzyna

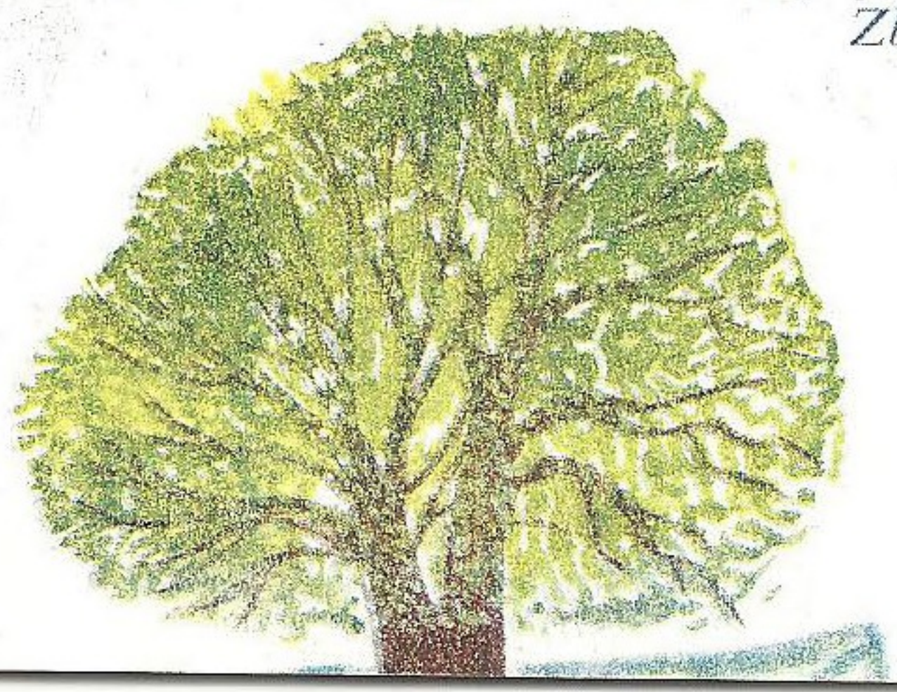

Tym opowiadaniem — napisanym na prośbę „Płomyczka" przez pana Wojciecha Żukrowskiego — zaczynamy cykl materiałów z historii Polski. Będzie ich w naszym dwutygodniku bardzo dużo.

Czekamy również na propozycje ze strony Nauczycieli. Na listy od nich — z nagłówkiem na kopercie: HISTORIA — w których podpowiedzą nam sporo ważkich i smakowitych wierszy i opowiadań historycznych.

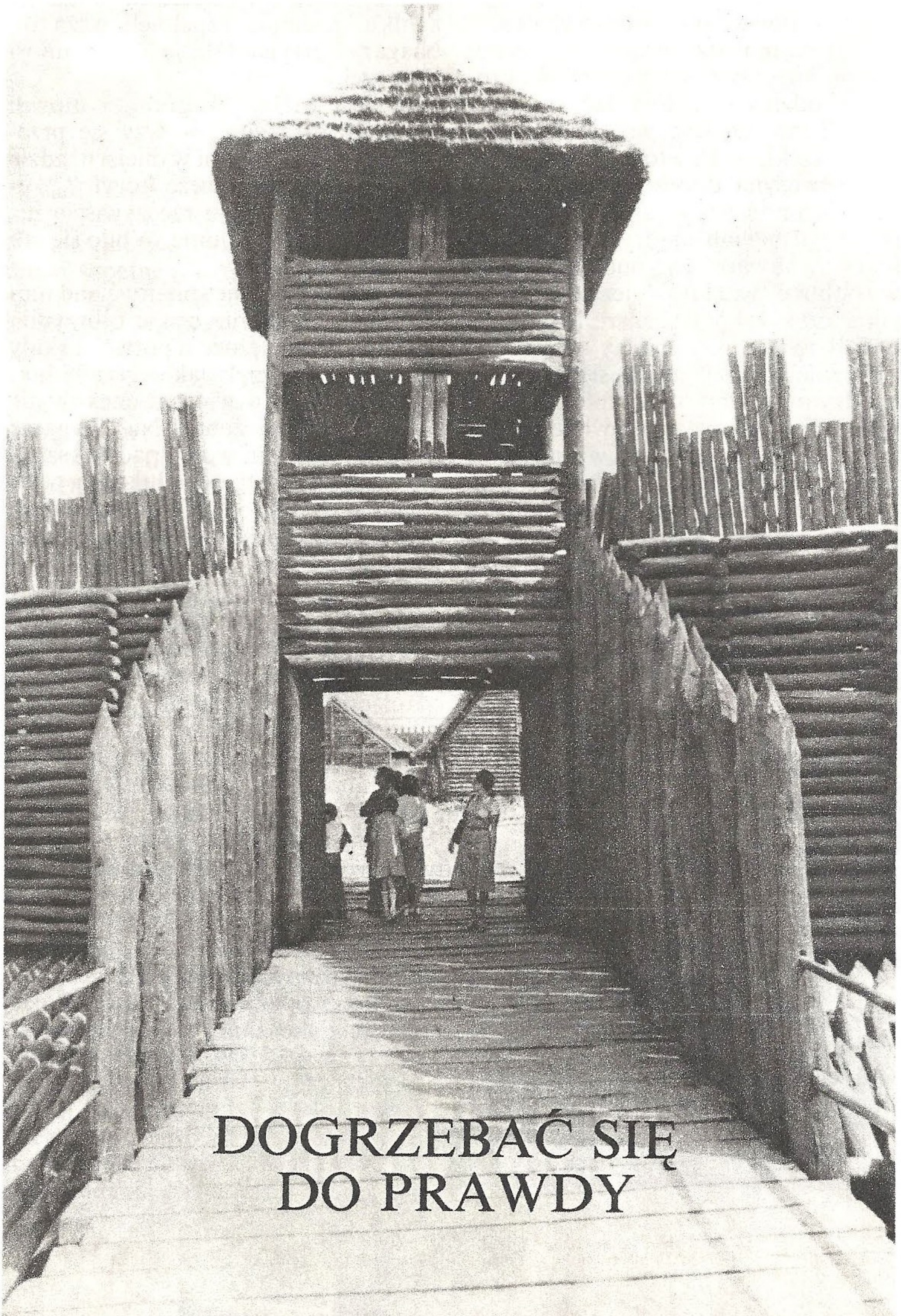

DOGRZEBAĆ SIĘ DO PRAWDY

Moje czujne ucho niezbyt pilnego ucznia łapało różne nowinki, którymi można było zabawić naszego historyka i bodaj część lekcji uciekała, nim zdążył nas przepytać i postawić parę dwój. Nie był to czas zmarnowany, skoro budził zainteresowania i zapadał w pamięć. Kiedyś zapytałem o głośną wówczas książkę redaktora Józefa Kisielewskiego: „Ziemia gromadzi prochy"... Przyznam się, że „prochy" zawsze mi się kojarzyły z czymś do strzelania: „podsypać prochu na panewkę", „ścieżka prochowa", która zastępowała lont, czy „wybuch prochów w lochach zamkowych" .. Tymczasem to było grzebanie się w ziemi, zbieranie skorup, rzemyków, urn i łzawic, zardzewiałych grotów i paciorków z bursztynu, śladów po naszych przodkach. Ziemia otwierała się jak księga prehistorii, opowiadała, jakie plemiona tu osiadły. Można było odtworzyć, jak tamci ludzie mieszkali, co uprawiali, czym się żywili, nawet w co wierzyli.

Nasz historyk rozzłoszczony dziarską głupotą obiecał nam wycieczkę do Biskupina, w powiecie żnińskim, koło Bydgoszczy Profesor umiał rysować, więc dla zachęty na tablicy machnął kredą obraz dziwnego warownego grodu na jeziorze i domów pod wspólnym dachem z trzciny, chałup z pni dębowych, gdzie obok mieszkali gospodarz z rodziną, jego krowiny i koniki. Używam słów zdrobniałych, bo konie miały wygląd tarpanów, a krowy — mongolskiego, dziko hodowanego bydła.

Oczywiście, ta dość grząska ziemia na wysepce została umocniona palisadą i ziemnym falochronem. Wąskiej grobli łatwo można bronić. Szturm z łodzi mogli mieszkańcy odeprzeć strzelając z łuków, waląc kamieniami, a potem z bliska spychając napadających włócznią z żelaznym grotem. W lesie trafili szperacze na piece — dymarki, w których z rudy żelaznej wytapiano żelazo. Chaty były oczywiście kurne, ognisko na kamiennym palenisku oświetlało wnętrze, a dym wyganiał komary, podwędzał połcie upolowanej zwierzyny wiszące pod strzechą i wychodził przez otwór w dachu. Życie toczyło się przed chatą. Tam stały żarna i proste krosna pod wysuniętym okapem. Ubrania robili z lnu i skóry dobrze wyprawionej. Na grubych ścianach z całych pni wisiały sieci na ryby i stożkowate więcierze. Oczywiście, pod okapem sadowiły się na noc kury, a kogut swoim pianiem ogłaszał północ.

Widząc, że profesor kończy rysunek i strzepuje pył kredowy z palców, zapytałem szybko: — A psy, panie profesorze?

— Pewnie, że je mieli, towarzyszyły myśliwym... Strzegły chat przed obcymi. Mimo ukrycia w borach i obronnego położenia Biskupin był wielokrotnie napadany i co najmniej dwukrotnie doszczętnie spalony. Ślady ognia widać na belkach. Groty strzał, ostrogi, klamry od pasów .. Długi, skandynawski miecz niedawno wydobyto z torfowiska. Jeśli potrafisz z ziemią rozmawiać, ona ci wiele może wyznać. Pojedziecie, to sami zobaczycie.

Przyjechaliśmy w dwa tygodnie później i byłem bardzo rozczarowany Pamiętam majowy dzień, rozświetlone niebo, pola z już wyrośniętym zbożem, a w uszach mam dzwonienie konikόw polnych i świerszczy.

Trzeba było mieć dużo wyobraźni, żeby w tej rozrytej ostrożnie, torfiastej łące po rzędach opalonych i jakby skamieniałych pali dębowych, wytyczających zarys palisady i mostu na grobli, odtworzyć sobie to, o czym nam w klasie mówił nauczyciel.

Tu, na kawałku plandeki, leżały jakieś zabłocone ułomki garnków, gliniane, wypalane jaja, z otworkami

Dokończenie na str. 27

OJCZYZNA

Fragment

Córce

Wiele pieśni na świecie
ze stulecia w stulecie,

ale jest ton jedyny,
z samej głębi, z głębiny;
od kolebki do grobu
ton ten idzie za tobą;

byle szmer, byle nuta,
a już wiesz, że to tutaj: (...)
listek upadnie w strumień,
a już serce rozumie,

zamyśli się, wypowie,
a co w sercu, to w mowie,

w mowie dziada, pradziada,
co szmerliwa jak trawa,
co się krzewi faliście,
raz jest słowem, raz liściem,

raz pagórkiem, raz chmurą,
porą roku poczwórną,

śniegiem, ptakiem, błękitem,
Szopenem i Norwidem. (...)

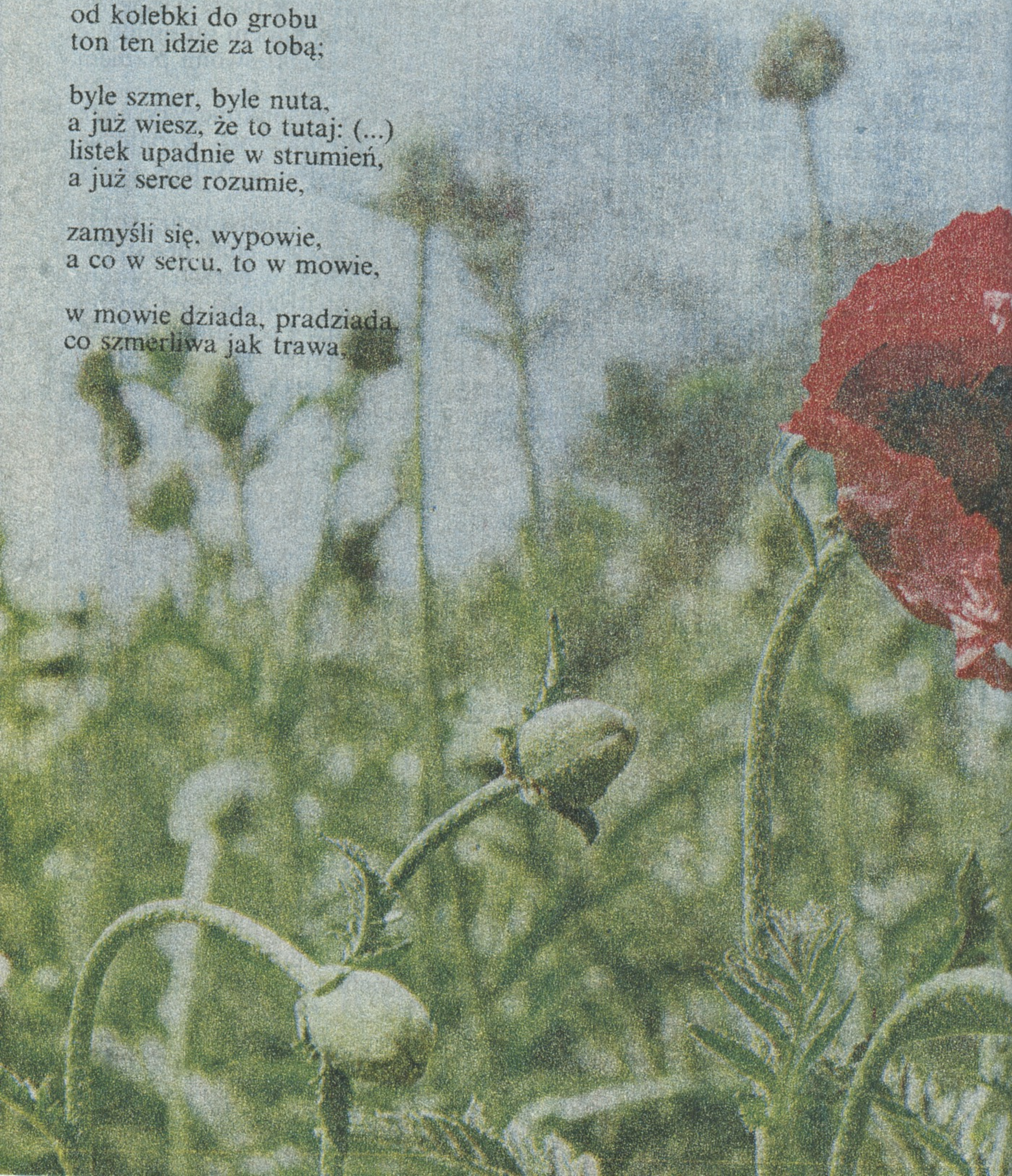

Kraju mój, kraju barwny
pelargonii i malwy,

kraju węgla i stali,
i sosny, i konwalii,

grudka twej ziemi w ręku
świeci nawet po ciemku; (...)

A nam, którzyśmy w drodze,
niechaj flaga łopoce,

żeby dźwięczał dźwięk kielni
najcelniej, najrzetelniej —

żeby siła w ramionach,
żeby trud nasz wykonać —

przy stali i przy zbożu,
na lądzie i na morzu —

żeby blask szedł z dni naszych,
dni mozolnych, odważnych,

w wiek sławą złotolistną,
nutą świętą, ojczyzno.

Konstanty Ildefons Gałczyński

DLA WAS I DLA MAMY

RYBY W AKWARIUM I TE NA STOLE

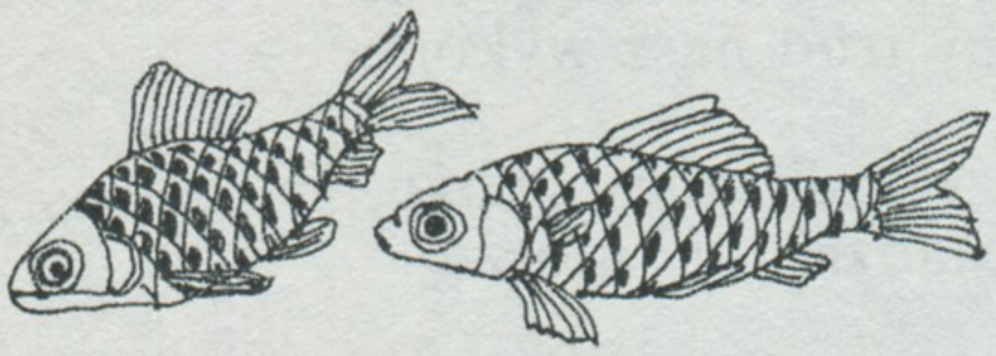

Czy wiecie, że nasi przodkowie już przed 25 tysiącami lat łowili ryby? Wiemy o tym ze znalezisk w jaskiniach znajdujących się na terenie dzisiejszej Francji i Hiszpanii, które ongiś zamieszkiwały ludy kultury magdaleńskiej *, żywiące się rybami. Haczyki robiono z kości lub kamienia. Znaleziono też tam szczątki sieci rybackich.

Dlaczego człowiek już w czasach zamierzchłych starał się znaleźć sposób łowienia ryb? Otóż były one jednym z ważniejszych źródeł pożywienia. Pieczono je, a także przechowywano w postaci suszonej na okres, gdy nie można było ich zdobyć.

Chińczycy 1000 lat p.n.e. udomowili karasie. Obserwując je zauważyli, że wśród nich pojawiały się ryby o innym atrakcyjnym kolorze, niektóre miały zmienione płetwy i ogon. Te zmienione karasie żyją do dziś w waszych akwariach domowych.

W starożytnym Rzymie potrawy z ryb należały do najwykwintniejszych, dominowały na stołach możnych. Nasza tradycja nakazuje jadanie potraw z ryb w dzień wigilijny Obyczaj ten wiąże się z postem przestrzeganym w tym dniu. Dni w roku jest wiele, lecz ryby na stołach pojawiają się rzadko. Należałoby to zmienić. Mięso ryb jest równie dobre jak mięso innych zwierząt. Ma te same składniki odżywcze, dostarcza białka, witamin i składników mineralnych, których potrzebuje każdy organizm, a tym bardziej młody, rosnący i rozwijający się bardzo intensywnie. Mięso ryb jest łatwiej strawne niż mięso zwierząt hodowlanych, jest delikatniejsze. Nie krzywcie się, gdy na stole pojawi się ryba, i zjedzcie dużą porcję z surówką warzywną i ziemniakami. Smacznego!

Krystyna Tarnowska

---

* Kultura magdaleńska ostatni okres młodszego paleolitu (ok. 10 000 lat p.n.e.). Nazwa pochodzi od miejscowości La Madeleine we Francji.

DBAMY O ZDROWIE

O morzu i zdrowiu

Jeśli zdarzy się wam latem być nad morzem, starajcie się ten pobyt wykorzystać także dla zdrowia. Oddychanie powietrzem, które przywiewa wiatr znad wody, może zapobiegać wielu chorobom. A u ludzi chorych znacznie przyspieszyć powrót do zdrowia. A wszystko dzieje się za sprawą aerozolu morskiego. W czasie ruchu falowego wody, kiedy fala rozpryskuje się, w powietrze unoszą się miliardy drobniutkich kropelek słonej morskiej wody Pod wpływem promieniowania słonecznego woda odparowuje, ale maleńkie drobiny soli nadal utrzymują się w powietrzu. Najwięcej tych drobin zawiera powietrze w dni słoneczne na plażach osłoniętych od lądu wysokim brzegiem, tzw. klifem.

Aerozol morski wnika z powietrza do naszych płuc i zwiększa wydzielanie śluzu oraz pobudza ruchy rzęsek nabłonka dróg oddechowych. W ten sposób przyczynia się do lepszego oczyszczania płuc ze wszystkich zanieczyszczeń, jakie codziennie wdychamy. Jest to bardzo ważne dla palaczy, dla ludzi pracujących w dużym zapyleniu, dla mieszkańców wielkich miast, a także dla tych, którzy często chorują na zakażenia dróg oddechowych. W czasie pobytu nad morzem wzrasta pojemność naszych płuc, a ruchy oddechowe stają się wolniejsze i głębsze. Sól z morskiej wody zawiera jod, dlatego rzadko u mieszkańców tych okolic stwierdza się choroby tarczycy

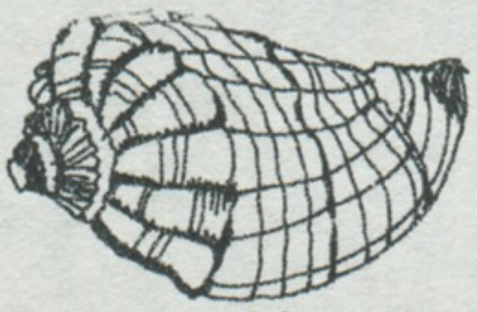

Spacery wzdłuż morskiego brzegu są bardzo korzystne dla ludzi cierpiących na nadciśnienie tętnicze. Po kilku tygodniach spacerów nad morzem ciśnienie krwi normalizuje się na wiele miesięcy

Ponadto chłodne morskie powietrze ma właściwości hartujące, usprawnia mechanizmy termoregulacji, co w ostatecznym wyniku zmniejsza skłonność do zaziębień.

Podobny korzystny wpływ na zdrowie obserwuje się, kiedy wdychamy powietrze w pobliżu solankowych tężni, np. w Ciechocinku czy Konstancinie.

dr Leszek Marek Krześniak

Pani ASTRID LINDGREN z wizytą w Wydawnictwie, które przybliża polskim dzieciom jej twórczość

Najpierw były tylko — niezbyt pewne — wieści, że wielka pisarka szwedzka ASTRID LINDGREN zamierza przyjechać do Warszawy. Potem usłyszałem, że przybędzie, ale... nie wiadomo kiedy... Wreszcie otrzymaliśmy wiadomość, że zjawi się w „Naszej Księgarni" 2 maja o 16.30. Przybędzie do nas zaraz po otrzymaniu doktoratu honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego.

No i już widzimy Ją tutaj, w gabinecie dyrektora Czesława Wiśniewskiego, wraz z ambasadorem Królestwa Szwecji Jean-Christophem Öbergiem, wśród polskich wydawców, pisarzy, redaktorów. Trzyma właśnie w ręku „Płomyczek" otwarty na tej stronie, gdzie pokazujemy polskim dzieciom jej stary, rodzinny dom.

Jest wzruszona, więc nie zważa na to, że to dopiero próbny numer. Że trochę za ciemne są te kaczeńce na okładce. Że jeszcze trzeba będzie poprawić kolory w środku.

Widzi ten stary dom — czyli początek swej drogi. I rodziców — zawsze troskliwych. I całą trójkę swojego rodzeństwa. A ta dziewczynka w środku, najbardziej wysunięta do przodu, to ona, maleńka i szczęśliwa. *Tadeusz Chudy*

Fot. Stefan Rutkowski

U PROFESORA PUTA 14

Profesor wyglądał równie dostojnie jak przed rokiem. Za to pomieszczenie różniło się znacznie. Wyłożone było niepospolitej piękności kryształami, mógłbym przysiąc, że to diamenty. Fotel, w którym siedział, przypominał purpurowy tron.

— Dzień dobry, panie profesorze! — powiedzieliśmy z Baśką jednocześnie.

— Witam was w mojej bazie. Usiądźcie — wytwornym gestem wskazał fotele.

— Jak podobała się wam dotychczasowa podróż?

— Nastawiliśmy się na wielkie atrakcje — powiedziała Baśka.

— Szokszo, to znaczy Zielony, zaplanował dla was bogaty program pobytu na Wiridii. Mogę wam zdradzić, że poza zwiedzaniem miasta macie w planie wycieczkę nad rtęciowe morze, podróż na Iskinię — planetę śpiewających skał i, jeżeli zechcecie, będziecie mogli przyjrzeć się produkcji naszych robotów. Wszystko zostało uzgodnione i przygotowane.

Podskoczyliśmy z radości.

— Dziękujemy panu, panie profesorze. Jest pan najwspanialszym profesorem, jakiego kiedykolwiek znaliśmy — wykrzykiwaliśmy.

Profesor uśmiechnął się nieznacznie.

— Panie profesorze! Chcemy panu dać coś na pamiątkę. Długo zastanawialiśmy się, co mogłoby pana ucieszyć. Wreszcie doszliśmy do wniosku, że musi to być coś, co zrobiliśmy sami. Proszę.

Baśka wręczyła mu niewielkie zawiniątko. Była to prześliczna serwetka wydziergana przez nią osobiście.

— Dziękuję. Taki wspaniały prezent powinien znajdować się na honorowym miejscu. Zaraz każę oprawić go w ramki i powiesić na ścianie w moim gabinecie.

Nie wiedzieliśmy, czy żartuje, czy mówi poważnie, bo dziwnie się przy tym uśmiechał, a my nie znaliśmy tutejszych zwyczajów.

— Na Wiridii — mówił dalej profesor — będziecie jedynie gośćmi, ale musicie dostosować się do tamtejszych warunków. Tak się składa, że wszystkie urządzenia oraz roboty reagują na kolor skóry.

— Dlatego zrobi nas pan na zielono? — spytałem.

— Otóż to! Ponadto dostaniecie analizatory pojęciowe i identyfikatory. Przez dwa tygodnie będziecie mogli czuć się jak prawdziwi Wiridianie. Życzę wam udanych wakacji.

Po tych słowach profesor oddalił się, zostawiając nas samych. Wszedł złoty robot i zaprowadził nas do kolejnego pomieszczenia, które wyglądało jak sala operacyjna.

— Proszę oddać swoje ubrania do depozytu — powiedział.

— Jak to, wszystko? — zdziwiła się Baśka.

— Wszystko.

— To mamy zostać na golasa?

— Tak — odpowiedział robot. — Otrzymacie klimatyzacyjne kombinezony.

— Wojtek, wyjdź. Ja rozbieram się pierwsza — zwróciła się do mnie speszona Baśka.

— Nie wolno wychodzić — zaprotestował robot. — Rozebrać się macie obydwoje.

— Ależ to nie wypada! — oburzyła się Baśka.

— Toniewypada też można oddać do depozytu — poinformował nasz złoty przyjaciel.

— To zamknij oczy — zarządziła.

— Ty też — powiedziałem.

Rzecz trzeba było jakoś załatwić. Przecież przez takie głupstwo nie wrócimy na Ziemię.

— Tego plecaka proszę nie zabierać do depozytu, są w nim prezenty dla Zielonego, to znaczy dla Szoksza — zwróciłem się do robota, który składał nasze rzeczy i pakował do plastykowych worków. Skinął głową, że się zgadza.

Odwróciliśmy się do siebie plecami i zaczęliśmy się rozbierać. Kiedy byliśmy już całkiem nadzy, robot kazał nam wejść do półkulistej wanny przypominającej kocioł.

— Panie mają pierwszeństwo. Proszę bardzo — powiedziałem nieco zmieszany.

— Nie wygłupiaj się. Idź pierwszy — mruknęła Baśka ze złością.

— To idziemy razem. Nie będę cię przecież podglądał — powiedziałem urażony i, żeby uratować swój honor przynajmniej w połowie, zamknąłem jedno oko. Musiałem przecież widzieć, dokąd idę.

Potem kocioł wraz z nami został przykryty wypukłą pokrywą i zostaliśmy poddani tajemniczym zabiegom, przystosowującym nas do bezpiecznego przebywania wśród mieszkańców Wiridii.

Wnętrze kotła wypełniło się parą jakiegoś związku chemicznego o dość agresywnych właściwościach, bo czułem dotkliwie pieczenie skóry na całym ciele i brakowało mi tchu. Na szczęście nie trwało to zbyt długo. Pokrywa uniosła się, robot nakleił nam na plecach i piersiach po kilka plastrów i znowu nas zamknął. Ze wszystkich stron trysnęła na nas oleista, tężejąca natychmiast ciecz. Pokrywa uniosła się i mogliśmy wyjść. Mieliśmy na sobie granatowe, dopasowane kombinezony, a twarze zielone jak rasowi Wiridianie. Robot usunął zręcznie zbędne tworzywo, wyrównując fachowo brzegi kombinezonu. W trzonowe zęby wprawił nam analizatory pojęć, w uszy kolczyki, i podarował po parze srebrzystych butów. Byliśmy gotowi do dalszej podróży.

Ostatni odcinek drogi mieliśmy przebyć w hiperprzestrzeni. Robot przewodnik zaprowadził nas do obszernego pokoju pełnego niezwykłych urządzeń, których nie potrafiłbym opisać. Pośrodku stała przezroczysta kabina z wąskim pulpitem o dwóch rzędach kolorowych guziczków.

— Za sześć minut wyruszamy. Proszę za mną — zakomenderował robot i wszedł do kabiny. My za nim.

— Obyśmy tylko nie wylądowali w stodole wujka Tośka — zażartowałem.

— Jeżeli będziesz się wiercił, to ze swym plecakiem na pewno spowodujesz nieszczęście — upomniała mnie Baśka.

Kabina była trochę za ciasna dla trzech osób i jednego plecaka. Robot manipulował coś przy pulpicie. Usłyszeliśmy delikatne buczenie. Po chwili wszystko dokoła zaczęło się rozmazywać. Trwało to kilka minut. Potem przedmioty nabrały ostrości, ale... nie były to te same przedmioty. Kabina była podobna, ale sala zupełnie inna. Ponadto za kabiną stał Zielony. Byliśmy na Wiridii — trzeciej planecie Wegi z gwiazdozbioru Liry, oddaleni

od Ziemi o kilkadziesiąt lat świetlnych.

Powitanie na Wiridii

„Teraz na dobre rozpoczyna się nasza przygoda" — pomyślałem. Jeszcze wtedy, witając się serdecznie z Zielonym, nie wiedzieliśmy, że wypadki potoczą się zupełnie inaczej, niż to przewidywał profesor Put. Nie będę jednak uprzedzał faktów.

Do domu Zielonego dojechaliśmy chodnikiem spacerowym. Po drodze podziwialiśmy miasto, będące jednocześnie stolicą planety, państwem, jedynym miejscem zamieszkanym przez Wiridian.

Pokrywał je olbrzymi, przezroczysty klosz. Domy przypominały klocki poustawiane jedne na drugich z dziecięcą fantazją. Nie znam się na stylach architektonicznych, ale ten nazwałbym zabawnym. Na elementach sześciennych stały ścięte stożki, a na nich graniastosłupy. W innych przypadkach kompozycje były jeszcze bardziej

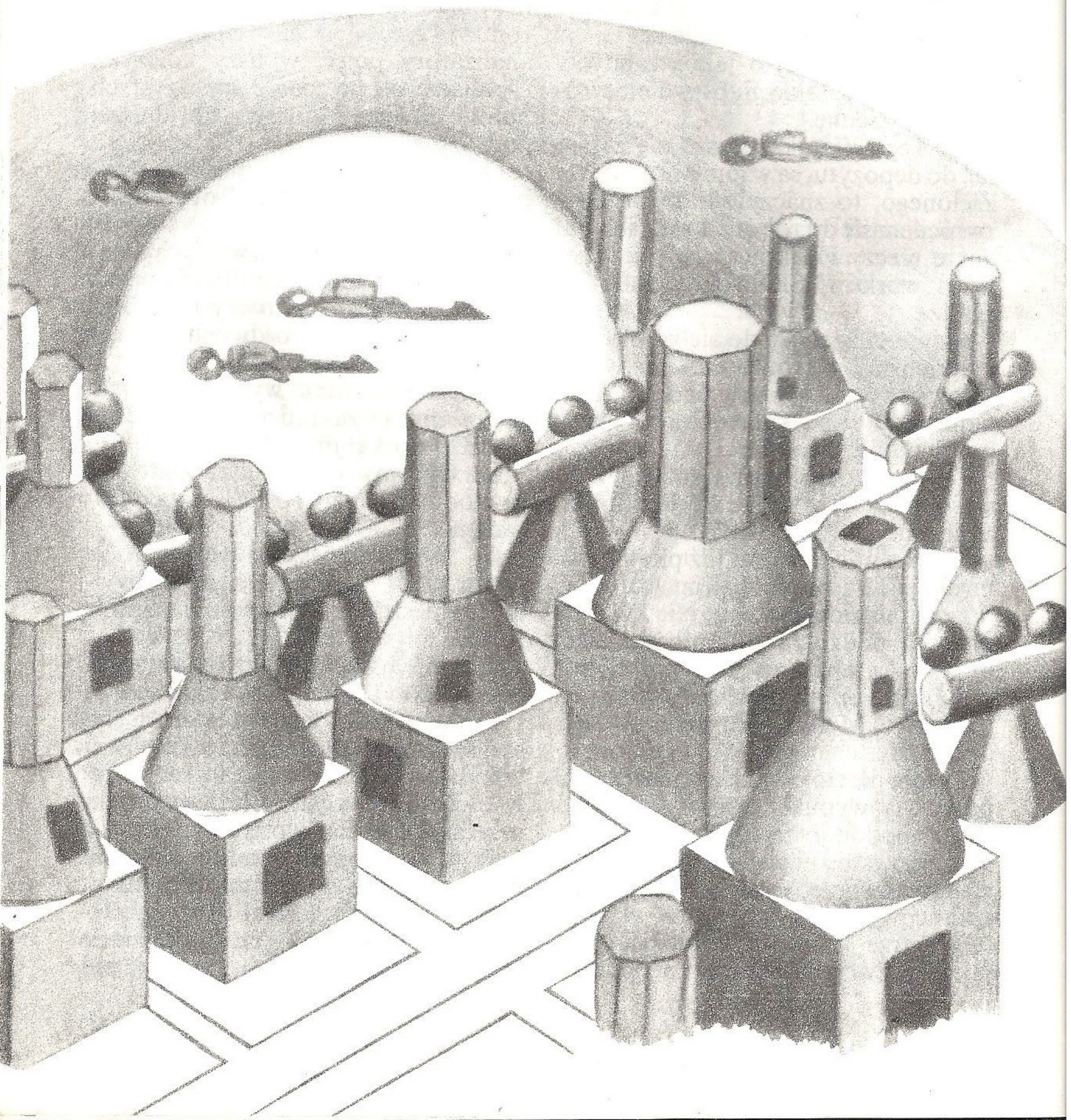

zaskakujące. Na ostrosłupie leżał bokiem walec, a na nim trzy kule.

— Mam wrażenie — powiedziała Baśka — że oni w budownictwie nie znają modułu.

Nie wiedziałem, co to moduł w budownictwie, ale z całą pewnością miała rację. Najdziwniejsze było to, że te dziwaczne budowle zamiast okien miały pomarańczowe kwadraty. Domyśliłem się, że to drzwi.

— Słuchaj, Zielony, dlaczego wasze domy nie mają okien? — spytałem.

— Mają, ale tylko od środka.

Wolałem więcej nie pytać. „Może w tym kotle, w którym robili nas na zielono, uszkodzili mi mózg i teraz mam halucynacje" — pomyślałem.

Przestrzenie między domami-klockami można by nazwać umownie ulicami. Sunęły tam ruchome chodniki z pasami o różnej prędkości — od spacerowej do ekspresowej. Ponadto w powietrzu, latało, używając aparatów podobnych do szkolnych tornistrów, sporo tutejszych obywateli, a nawet robotów. Najważniejszym miejscem w mieście było Centrum, w kształcie idealnie kulistego budynku.

— Co to jest Centrum? — spytała Baśka.

— To jest mózg miasta i całej planety — odpowiedział Zielony.

— To znaczy, że rezydują w nim władze administracyjne? — dociekała.

— Nie tylko. Tutaj jest wszystko, co decyduje o istnieniu planety. To jest mózg.

Daliśmy spokój temu problemowi, ponieważ wiedzieliśmy, że wkroczyliśmy do całkiem innej cywilizacji. Nie to zresztą interesowało nas najbardziej.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ewa Barańska i Wiesław Kot
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

GAUDE, MATER POLONIA

Jacek Malczewski „Polonia"

Pomyślmy przez chwilę: — Jak wyglądał nasz kraj przed lat tysiącem?

Na pewno, patrząc z lotu ptaka, zobaczylibyśmy przede wszystkim nieprzebyte puszcze i bory. I tylko od czasu do czasu spore prześwity pól i gniazda miast i wiosek między nimi. Zobaczylibyśmy też — natężając bardziej wzrok — przebiegające brzegiem boru sarny i dziki. Natomiast tura — króla tych puszcz i borów — nie ujrzymy. Kryje się w najdalszych ostępach leśnych. Można by tylko, od czasu do czasu, usłyszeć jego ryk.

— A jakich ludzi ujrzymy?

Inaczej ubranych. Inaczej, niż my dzisiaj, mówiących. Ale tak samo, jak my, lubiących się śmiać i śpiewać. Ten śmiech możemy sobie wyobrazić, słuchając echa naszego, gromkiego śmiechu. Natomiast pogłos ich śpiewu można usłyszeć na koncertach muzyki dawnej lub odnaleźć w takiej książce, jak ta, która niebawem ukaże się (wydana przez Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia") „GAUDE, MATER POLONIA" Wacława Panka.

Oto fragment pieśni, która dała tytuł książce, pieśni starszej od „Bogurodzicy" (śpiewanej przez polskich rycerzy pod Grunwaldem).

Gaude, mater Polonia,
Prole foecunda nobili.
Sumni Regis magnalia
Laude frequenta vigili...

W tłumaczeniu Leopolda Staffa tekst tego łacińskiego hymnu brzmi tak:

O, ciesz się, Matko-Polsko, w sławne
Potomstwo płodna! Króla królów
I najwyższego Pana wielkość
Uwielbiaj chwałę przynależną.

*

Znajdziemy w tej książce oczywiście i „Bogurodzicę", i „Mazurka Dąbrowskiego", i pieśni o żołnierzu, który wędrował borem lasem, i „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani", a także słowo o tym, co dzisiaj śpiewamy.

Tak więc poznamy dzieje Polski w pieśni. To książka szczególnie ważna dla nauczycieli, by mogli Wam przekazać — podczas lekcji — specjały przez pana Wacława Panka wyszperane.

Tadeusz Chudy

HISTORIA POCZTY

Poczta! Ile wzruszeń kryje w sobie to stare, międzynarodowe słowo. Było znane już za Juliusza Cezara (mansio posita, posita, posta), a później w całym cywilizowanym świecie. Najstarsze datowane listy pochodzą z roku około 2400 p.n.e. W starożytnym Egipcie w 2000 r. p.n.e. działała już sprawna sieć pocztowa. Najdawniejsze listy pisano na tabliczkach glinianych, na korze drzewnej, na liściach palmowych... Przenosili je specjalni gońcy, tacy jak ten na rysunku. Można było ich spotkać jeszcze na początku XIX w. Wtedy nazywano ich: „umyślnymi". W Grecji jako posłańców zatrudniano biegaczy, przebywali oni nieraz dość duże odległości. W Chinach funkcjonowała poczta sztafetowa. Przekazywanie listu następnemu biegaczowi odbywało się co 3 km. W VI w. p.n.e. w Persji zaczęła kursować poczta konna.

W państwie rzymskim były stałe linie pocztowe między Rzymem a stolicami prowincji, obsługiwane przez pojazdy zaprzęgowe. Zmieniano konie na stacjach odległych co 20—30 km. W miejscowości Maria Saal (teraz w Austrii) w ścianę kościoła jest wmurowana płaskorzeźba kamienna przedstawiająca taki wóz. Może tam w pobliżu znajdowała się jedna z owych „mansiones", stacji odpoczynku. Zapewne wielki był zasięg tych wozów. Jest to pewnie najstarszy wizerunek pojazdu pocztowego. Z poczty korzystali jednak zawsze przede wszystkim możni ówczesnego świata. Dopiero w 1516 r. pewien Włoch uruchomił pierwszą pocztę ogólnie dostępną między Wiedniem a Brukselą. W XVII w. instytucje pocztowe przechodzą stopniowo pod zarząd państwa. W 1684 r. elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm zauważył, że utrzymywanie stałej poczty to niezły interes, i upaństwowił wszystkie linie pocztowe w swoim państwie. W XVIII wieku krążyły już po całej Europie dyliżanse pocztowe. W połowie XIX w. w Anglii wprowadzono opłaty pocztowe kwitowane za pomocą znaczków.

W Polsce już za pierwszych Piastów istniała regularna służba pocztowa dla dworów książęcych. Kazimierz Wielki wprowadził pocztę między Uniwersytetem Jagiellońskim a uniwersytetami we Włoszech i Francji. Król Zygmunt August polecił Prosperowi Prowanowi uruchomić pierwszą międzynarodową linię pocztową Kraków—Wenecja. Król Stanisław August w 1764 r. kazał założyć stałe stacje pocztowe i nakazał przestrzeganie tajemnicy korespondencji.

Na obrazku widzimy pocztyliona siedzącego na koniu (poczta konna). Z czasem dodano mu dwukółkę, zwaną biedką. Wreszcie, ale to już w wieku XVIII, pojawił się na naszych ziemiach dyliżans.

W połowie XIX w. wprowadzono na kolejach pierwsze specjalne wagony pocztowe. A jak wygląda poczta dzisiaj, sami wiecie.

Konstanty Maria Sopoćko

W TRZCINACH

Wśród łodyg trzciny, jak wśród miniaturowego lasu, żyją różne ptaki nadwodne. Obszar zarośnięty przez trzcinę nie jest zbytnio wielki, ale aż gęsto tu od zwierząt — znajdują tu i dostatek pożywienia, i schronienie przed wrogami. Sprzyja temu gąszcz trzcin.

Ptaki żyjące wśród trzcin odzywają się ostrymi głosami, aby przekrzyczeć ciągły szum liści. Dominuje głos trzciniaka: „ryba rak, ryba rak, ryba ryba ryba, rak rak rak". To nawet nie jest śpiew — trzciniak po prostu drze się, i to niemal całą dobę.

Duże ptaki ścielą gniazda-platformy z łodyg i liści trzcin i innych roślin (np. różnych wielkich szczawi). U **perkozów** są one pływające, a zakotwiczone o łodygi; u **kaczek, łabędzia, łyski, błotniaka** — oparte o dno: u **wodnika, kokoszki, kureczek, bączka** — wyniesione ponad wodę. Drobne ptaki — **trzciniak** i **trzcinniczek** wiją głębokie koszyczki oplecione o łodygi nowo wyrosłych trzcin, zakładane ok. 1 metra ponad lustrem wody. W zależności od tempa wzrostu trzcin uzależnionego temperaturami wiosennych dni, trzciniaki zakładają gniazda jednego roku raz na początku, a innego — w końcu maja. Pisklęta opuszczają gniazdo w wieku ok. 13 dni, jeszcze nielotne, i jak cyrkowi akrobaci skaczą ponad wodą z jednej rozchwianej trzciny na drugą. Podobnymi akrobatami są **bączki**, a wędrówki odbywają już nawet pisklęta trzydniowe, wracając przy tym na karmienie do gniazda, co można uznać za wyczyn w konkurencji biegów na orientację w jednolitym pozornie zbiorowisku łodyg.

Roślinami podwodnymi żywią się **łyska, łabędź, kaczki**. **Bąk** i **bączek** zjadają różne drobne zwierzęta wodne, **wodnik** i **kureczki** żywią się zarówno drobnymi zwierzętami, jak i roślinami, a błotniak wszelkimi większymi zwierzętami — jak owadami, żabami, ptakami i ich jajami. O ile wszystkie ptaki żerują pośród trzcin, to **błotniak** patroluje teren tuż ponad nimi, pięknym szybującym lotem ze skrzydłami lekko uniesionymi, a jego sylwetka widziana z przodu ma kształt litery V.

W trzcinowisku spotykamy czasem niezwykłego gościa — **kukułkę**. Podrzuca ona swe jaja trzciniakom i np. w zeszłym roku nad Jeziorkiem Czerniakowskim w Warszawie — rezerwatem przyrody w mieście, znaleziono dwa jaja kukułcze w trzciniakowych gniazdach — koszyczkach.

Jesienią trzcinowe zarośla służą za noclegowiska dla **szpaków** i **jaskółek**. **Szpaki** spadają w trzciny ogromnym stadem zwijając się i rozwijając w locie, jakby ktoś machał na wietrze ogromną czarną flagą. **Jaskółki** zbierają się długo w wieczór, co łatwo zaobserwować. Odlatują natomiast nagle o świcie wszystkie razem, co trudniej zauważyć. Dawniej sądzono, że **jaskółki** zimują w mule pod wodą, a w książkach przyrodniczych sprzed kilkuset lat można to nawet zobaczyć.

Tekst i fot. Wiktor Pawłowski

Łyska

Błotniaki stawowe

Bączek

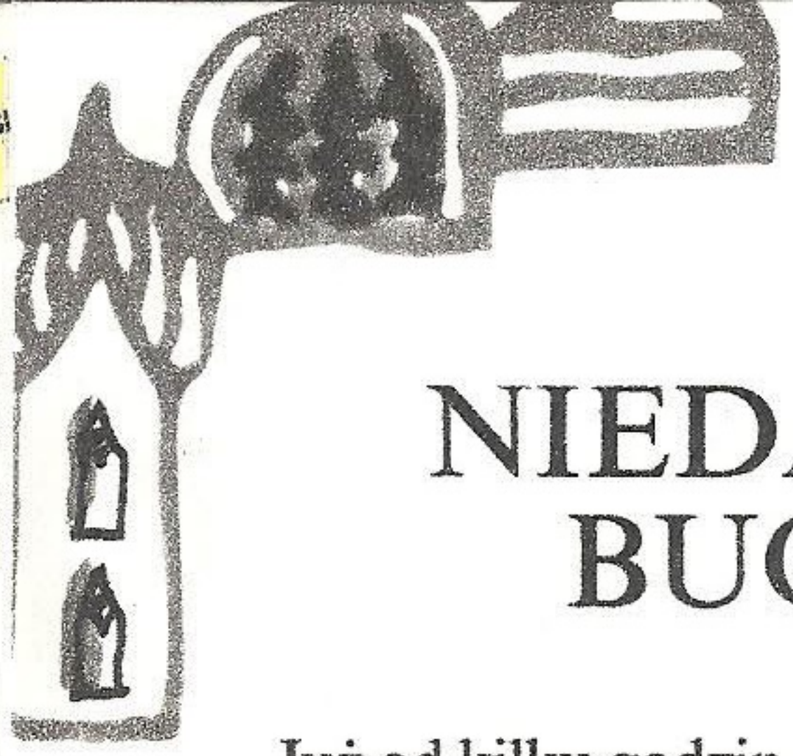

NIEDALEKO BUCHARY

Już od kilku godzin Hodża Nasreddin kiwał się na osiołku człapiącym ścieżynką pośród wyschłej kolczatki. Pogrążony w myślach nie spostrzegł trzech zbrojnych, zbliżających się szybko ku niemu od strony murów obronnych Buchary. Z zadumy wyrwał go znajomy głos:

— Witaj, afandi. Wracasz do domu z podróży?

— Pokój z wami, przyjaciele. Rzeczywiście, śpieszę na spotkanie z moją ukochaną Guldżachon, która nie lubi, gdy zbyt długo pozostaję za domem — odpowiedział mędrzec i popatrzył z podziwem na wspaniałe wierzchowce tańczące pod jeźdźcami. — Te rumaki macie chyba niedawno? Nie pamiętam ich. Na innych koniach jeździliście dotychczas, prawda?

— Pamięć cię nie zawodzi, afandi — potwierdził słowa Hodży Chakim. — Za spryt i cierpliwość w wyśledzeniu bandy rozbójników, ukrywającej się w pobliżu szlaku karawanowego i napadającej na podróżnych, otrzymaliśmy cudowną nagrodę. Ze stajen emirowych przydzielono nam znakomite achałtekińskie ogiery, w boju szybkie jak błyskawica, a na pustyni wytrzymalsze od turkmeńskich wielbłądów. Radość nasza nie miała granic, bo dla wojownika nie ma nic cenniejszego na świecie nad takiego rumaka, przyjaciela nie zawodzącego w najgorszej nawet chwili. Nazajutrz, gdy wyruszyliśmy w trójkę na wyprawę w piaski pustynne, aby wytropić kolejną szajkę łotrzyków, o której doniesiono naczelnikowi okrę-

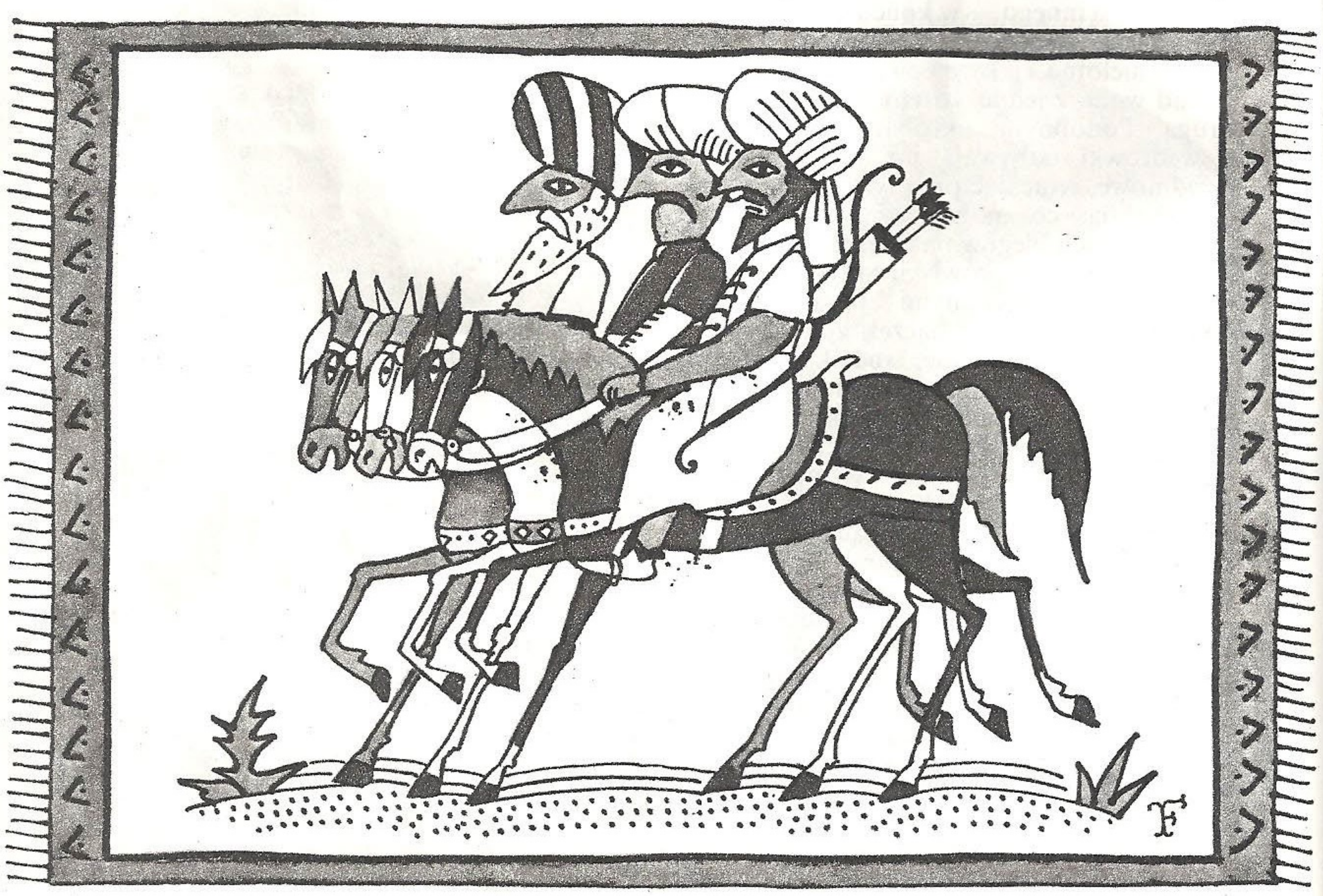

gu, zorientowaliśmy się, że każdy z nas dosiada wierzchowca odmiennej maści niż kolor włosów jego właściciela. Rada w radę postanowiliśmy zamienić się końmi tak, ażeby kruczowłosy łucznik Dadabaj miał karego achałtekina, nasz najlepszy tropiciel śladów, jasnowłosy Sajdułła, kasztanka o mlecznym odcieniu, no a ja, człek doświadczony o czuprynie gęsto posypanej śniegiem siwizny, abym otrzymał siwka z kilkoma ciemniejszymi plamami na grzbiecie. U ludzi prostych od słowa do czynu droga niedaleka. Natychmiast poprzesiadaliśmy się na nowe rumaki. Łucznik Dadabaj zsiadł z siwka i wdrapał się na achałtekina, z którego zlazł tropiciel Sajdułła. Zaś Sajdułła...

— Możesz nie kończyć, Chakimie — przerwał mu nagle Hodża. — I tak wiem, jakiej maści był twój wierzchowiec na początku. Twój także, Sajdułło.

Zdumieni wojownicy popatrzyli na Hodżę Nasreddina nic nie rozumiejącym wzrokiem. Pierwszy ocknął się tropiciel śladów Sajdułła i wykrztusił pytanie:

— A skąd wiesz, afandi? Któż ci o tym doniósł tak szybko?

— Moja własna głowa — odpowiedział mu z uśmiechem mędrzec bucharski. — Wystarczy odrobinę pomyśleć, aby poznać maść konia otrzymanego przez każdego z was ze stajni emirowej.

„Własna głowa jest sezamem, jeśli tylko umie się z niej czerpać bogactwa" — powiadają doświadczeni mieszkańcy pustyń i stepów. Spróbujcie i wy dowiedzieć się tą drogą, jakiego rumaka otrzymał w nagrodę na początku łucznik Dadabaj, jakiego tropiciel Sajdułła, a jakiego Chakim?

Zdzisław Nowak
Rys. Jerzy Flisak

Rozwiązanie zadania mądrego Hodży na str. 30

Dokończenie ze str. 15

DOGRZEBAĆ SIĘ DO PRAWDY

w środku, jak na paciorki naszyjnika wyjątkowo paskudne, wąska siekierka łuszczyła się ruda od rdzy.

W mulistym rozlewisku ciapkali nogami studenci w podkasanych portkach, szuflami wybierali breję torfową i przeczesywali ją palcami. Czasem coś znaleźli i gromadka się skupiała, raz był to kościany haczyk, to znów utrącona główka glinianej lalki, a może domowej bogini strzegącej rodziny od uroków.

— Każdy okruch rejestrujemy, nanosimy na plan. Nawet przydomowy śmietnik. Oni popiół i odpady wrzucali do wody. Teraz pozwala to ustalić, co mieszkańcy jedli. Załatwiali się także nad jeziorem i z jeziora brali wodę do picia, toteż choroby ich trzebiły, zostawali najsilniejsi. No, co się wykrzywiacie pogardliwie... Myśmy znów tak daleko od nich nie odeszli. Ile mamy na wsi studni podpłyniętych ściekami z wychodków? Przecież miasta całą kanalizację wpuszczają do rzek, a poniżej inni tę wodę czerpią do picia... Wy to musicie zmienić, jeśli chcecie być zdrowi.

— Kim byli ci ludzie, którzy Biskupin przed wiekami zamieszkiwali?

— Słowianami, jeszcze nie Polakami... Kultura łużycka, wczesna epoka żelaza. Znaleźliśmy piękną dłubankę, łódź z jednego pnia. Nadpalali drewno i wydrapywali koryto żelazną motyką... Ryby łowili siecią. O, te gliniane kule, ze śladami ręki, to właśnie ciężarki do sieci...

Tacy sami Słowianie zamieszkiwali te ziemie aż po Łabę. Dlatego uczeni niemieccy bardzo szybko zasypali podobne znalezisko nad Odrą na Ostrowie Opolskim, dlatego nie chcą robić poszukiwań koło Budziszyna czy na Rugii, bo wszędzie ziemia świadczy, że były to ziemie Słowian, podbitych, wytraconych mieczem, wchłoniętych

przez Germanów. Wszystko im zabrali, nawet imię, bo sami nazwali się od zagarniętych obszarów — Prusakami. I już mało kto pamięta, że tak się nazywali dawni posiadacze tych borów i jezior na północy Polski. Student opowiadał o wielkich odkryciach profesora Józefa Kostrzewskiego, archeologa, wychowawcy kilku pokoleń polskich uczonych. Jednak nam w głowach była kąpiel w jeziorze, biegaliśmy po świeżo skoszonej łące, tarzaliśmy się w pachnącym mocno sianie, póki nam gospodarz nie pogroził, że przyłoży po tyłku drewnianymi grabiami. Jeszcze mi zostało powiedzenie studenta:

— Takie same grabie mieli i półtora tysiąca lat temu, wystrugane, zrobione bez jednego gwoździa, lekkie i poręczne... Wyłowiliśmy je spod blisko metra torfu, to pozwala ustalić wiek z dokładnością do...

A tego już nie zapamiętałem. Może stu lat? No, ale przy tysiącu, dwóch tysiącach... Pomyślałem, że ten gród, to jakby na wzór żeremi bobrowych, na jeziorze, zaszyta w lasach obronna osada. Najazdy łupieżców, uprowadzone kobiety i dzieci, rabowany tylekroć dobytek i znowu rozproszeni mieszkańcy powracali, spławiali kloce, odbudowywali chaty, polowali na tury i żubry, łowili ryby, uprawiali poletka, żeby zielskiem i lasem nie zarosły, bo nasiona brzózek i sosen wiatr przynosił.

„Ziemia gromadzi prochy" — tak nazwał swoją książkę Józef Kisielewski. I dopiero w czasie wojny, kiedy tę książkę Niemcy wyłuskiwali z bibliotek publicznych, palili, pojąłem, że był w niej prawdziwy proch palny — wiedza o zamierzchłej przeszłości, to z niej uczyłem się prawa do ziemi, która przed wiekami należała do naszych przodków. Oby i w Was ta szczypta wiedzy zatliła się przywiązaniem do naszej prasłowiańskiej ziemi.

Wojciech Żukrowski

SPECJALNIE DLA „PŁOMYCZKA"

Z ZIMBABWE

Moje wspomnienia z wakacji

Latem ubiegłego roku byłem w Afryce, i to aż za równikiem. Miałem okazję zwiedzić piękny kraj — Zimbabwe. Byłem w 6 parkach narodowych, gdzie dzikie zwierzęta spotyka się na wolności, widziałem wspaniałe wodospady, wielkie rzeki i jeziora, skały, busz i zabytkowe budowle sprzed prawie tysiąca lat.

Wracaliśmy właśnie znad wspaniałych wodo-

spadów na rzece Zambezi w Victoria Falls. Do stolicy kraju Harare było stąd prawie 800 km. Zjechaliśmy na drogę prowadzącą do parku narodowego. Po obu stronach drogi rosły gęste zarośla z pojedynczymi większymi drzewami. Drzewa i krzewy miały liście pożółkłe, trwała bowiem afrykańska zima, a temperatura w ciągu dnia sięgała 25 do 30 stopni Celsjusza. Prze-

jeżdżaliśmy obok domków dla uczestników safari — afrykańskich polowań. Takie domki nazywają w Zimbabwe lodżami. Spojrzałem do tyłu. Nagle zobaczyłem tuż przy drodze potężnego, afrykańskiego słonia. Wynurzał się powoli z buszu. Jego wspaniałe, wielkie kły odcinały się jasnokremową barwą od ciemnej, prawie czarnej w promieniach zachodzącego słońca, sylwetki. Nie zdążyłem wyjąć aparatu fotograficznego, chociaż kilka aparatów zabrałem na okazję takich spotkań.

Następnego dnia, jadąc z miejsca naszego noclegu w Main Camp przez Park Narodowy Hwange, widzieliśmy całe stada słoni. Czasem przecinały nam drogę i musieliśmy się zatrzymywać, aż przejdą. Często widzieliśmy ogromne kupy gnoju świadczące o tym, że niedawno przechodziły tędy słonie. Wędrowały całymi

wysoki jak krzewy buszu po obu stronach drogi, swoją sylwetką całkiem zamykał prześwit, jaki droga tworzyła w buszu. Kiedy zbliżyliśmy się do niego jeszcze bardziej, kiedy już chciałem zrobić zdjęcie, słoń nagle z trzaskiem łamanych gałęzi zniknął w buszu.

Powoli ruszaliśmy z miejsca. Wtedy znów usłyszeliśmy głośne łamanie gałęzi i z tyłu za naszym samochodem, wydając złowrogi i groźny ryk, pojawił się ten sam słoń. Zmierzał wyraźnie w naszym kierunku. Odjechaliśmy pośpiesznie. Towarzyszący nam pracujący w Zimbabwe Polacy mówili, że należy obawiać się w buszu samotnych słoni, bo mogą być niebezpieczne. Słonie w stadzie są łagodne, a samotne mogą porozwalać domki, a nawet przewrócić samochód. Samotny słoń, którego spotkaliśmy, miał chyba podobne zamiary,

rodzinami, ze słoniątkami, najczęściej nie zwracały na nas uwagi. Wchodziły w busz, znikały z pola naszej obserwacji i nie dawały możliwości fotografowania. Kilkanaście kilometrów dalej, gdy jechaliśmy dość wąską asfaltową dróżką przez park, przed nami na środku drogi wyrosła potężna sylwetka słonia. Był tak

a jego ryk i podniesiona do góry trąba świadczyły o tym, że był bardzo niezadowolony, iż musiał ustąpić nam z drogi.

Do dziś bardzo wyraźnie pamiętam potężną sylwetkę słonia, który majestatycznym krokiem wychodził z buszu, kiedy wjeżdżaliśmy do parku.

dr Leszek Marek Krześniak

ŁAMIGŁÓWKA MATEMATYCZNA

1	2	3	4	5
2	4	8	16	17
1	3	5	7	6
1 5	3 10	9 15	27 20	28 29
2 1 3 4	6 5 7 8	10 9 11 12	14 13 15 16	30 31 32 34

Liczby w poziomych rzędach kwadratów dobrane są według pewnego porządku. W każdym rzędzie zasada jest nieco inna. Spróbujcie ustalić tę zasadę i wpisać odpowiednie liczby w wolne miejsca ostatnich kwadratów. Zadanie jest łatwe — trzeba tylko trochę pomyśleć.

A. O.

Rozwiązanie zadania mądrego Hodży

NIEDALEKO BUCHARY

Hodża Nasreddin powiedział do wojowników: „Wystarczy odrobinę pomyśleć, aby poznać maść konia otrzymanego przez każdego z was ze stajni emirowej".

Pójdźmy śladem Hodży i pomyślmy przez chwilkę.

Wiadomo, że każdy z trzech wojowników dostał w darze konia odmiennej maści niż kolor włosów jego właściciela.

Wiadomo też, że Dadabaj miał czarne włosy, Sajdułła jasne, zaś Chakim siwe.

Kiedy wojownicy doszli do wniosku, że powinni mieć rumaki tej samej barwy, co i czuprynę, czarnowłosy Dadabaj zsiadł z siwka i wdrapał się na achałtekina, z którego zlazł Sajdułła...

Jakiej więc maści był achałtekin Sajdułły? Oczywiście k a r e j (bo z siwka przesiadł się na niego c z a r n o w ł o s y Dadabaj). W takim razie siwowłosy Chakim w nagrodę musiał otrzymać ze stajni emirowej trzeciego konia, czyli kasztanka o mlecznym odcieniu.

I oto rozwiązanie gotowe.

Zdzisław Nowak

Zagadka 1

Ma mnie foka i fasola,
ma mnie Filip, nie ma Ola.
W dal mnie niesie rzeczna fala,
z dymem fajki się wypalam,
bywam w fagocie i flecie.
Czym ja jestem? Czy już wiecie?

J. S.

Zagadka 2

Poznań i Lublin — dwa miasta,
wiecie to dobrze chyba.
Spróbujcie jednak znaleźć,
w którym kryje się ryba.

S. A.

NASZ ZWIERZYNIEC

SUMIK WĘGORZOWATY

(Plotosus anguillaris)

Sumik węgorzowaty jest zwinną, morską rybą, dochodzącą do 1 m długości. Jego głowę zdobią nie tylko wyraziste oczy o żółtej źrenicy, lecz także cztery pary miękkich wąsików, które bogato unerwione, jak opuszki naszych palców, pomagają tej rybie wyszukiwać pożywienie w mulistym dnie lagun, zatok i zalewów przybrzeżnych wód Oceanu Indyjskiego i Pacyfiku. Pożywieniem sumika są bezkręgowce i ryby. Sumika można łatwo odróżnić od innych ryb węgorzowatych po jego długiej, klinowatej, jak wiosło, płetwie ogonowej, która powstała przez zrośnięcie trzech płetw: grzbietowej tylnej, właściwej ogonowej i odbytowej. Taki długopłetwowaty ogon jest raz narządem napędowym, drugi raz hamulcem, bądź sterem. To ułatwia sumikowi wykonywać zawiłe ewolucje w gęstej, przydennej roślinności. Chętnie tu żyje, gdyż na głębszych, otwartych wodach oceanu staje się szybko łakomym kęsem wędrownych ryb drapieżnych. Ku obronie przed tymi napastnikami natura dała sumikowi jadowite kolce umieszczone w płetwie piersiowej oraz w płetwach piersiowych i brzusznych.

Młode sumiki węgorzowate mają po obu stronach, ciągnące się od głowy do ogona, dwa żółte paski. W miarę starzenia się ryb ta ozdoba zanika, ale niezupełnie. Podobnym do sumika węgorzowatego, lecz tylko z wąsów, jest należący do innej rodziny — sumik gambijski i kapski — oba bytujące w oceanie. U nas w wodach śródlądowych stojących lub wolno płynących, o dnie zamulonym, żyje sumik karłowaty z rodziny karpiowatych, odporny na niedostatek tlenu w wodzie, na wahania temperatury i zanieczyszczenia środowiska. Jest on przybyszem z Ameryki Północnej, gdzie jego ojczyzna obejmuje krainę Wielkich Jezior oraz dopływy rzek Missisipi, Missouri i Ohio. Nie sprzyja jego rozwojowi środowisko naszych europejskich akwenów, skoro jest znacznie mniejszy od sumików w Ameryce.

Ciekawy jest rozród tej 25 cm rybki. Samica składa ikrę do uwitego z podwodnej roślinności gniazdka. Dalej ikrą opiekuje się już tylko samczyk, który strzeże gniazdka. Gdy wylęgną się młodziutkie sumiki, uczy je pływać w ten sposób, że nabiera sobie do pyszczka po kilka sztuk rybek i wypluwa na pewną odległość poza gniazdo. Rybki szybko wracają do gniazdka. Samczyk powtarza tę czynność wielokrotnie, aż sumiki nabiorą sprawności ruchowej. W końcu ośmielone, zapoznane z otoczeniem, same wypływają ze swojej kryjówki.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Elżbieta Barcik

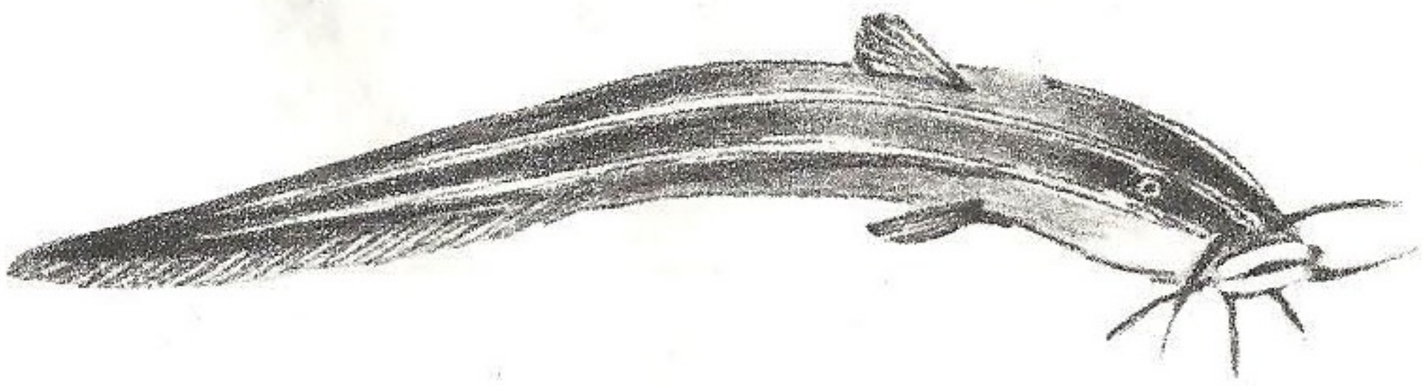

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY
kwartalnie — 600 zł,
półrocznie — 1200 zł,
rocznie — 2400 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Alicja Olszewska (zastępca redaktora naczelnego), Jadwiga Przeczek, Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (kierownik działu graficznego), Elżbieta Wrzecionkowska.

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Flisak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zbigniew Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietów wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PBK XIII Oddział w Warszawie Nr 370044-1195-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny:
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA, KRAKÓW, UL. WADOWICKA 8.
Papier rotogr. 70 g, rola 75 cm, kl. III.

Zam. 8332/89 O-10
Nakład 250 300 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

SUMIK
WĘGORZOWATY

Fot. Michał Wlaziński *Rys. Elżbieta Barcik*

CENA 100 ZŁ